

Kim władać będzie Charles III?

W PIERWSZYCH dniach listopada zeszłego roku siedziałem z Jeanem z naszymi angielskimi gośćmi w restauracji hotelowej. Słuchając stoik zajmowała grupa dziennikarzy burmańskich, przybyłych z okazji wizyty premiera U Nu. Anglik przyglądał im się natężony i jakoby z niesmakiem. — Niech pan spojrzę — powiedział. — Jeszcze dziesięć lat temu kianiłoby mi się; dzisiaj nie czują nawet wdzięczności za to, że to my dałmy im niepodległość. Jeśli tak dalej pójdzie, imperium stanie się wspomnieniem. Mój rozmówca nie przewidywał chyba, że tak szybko — w ciągu kilku miesięcy — „pójdzie dalej”; że na początku roku 1956, w dwudzięcą piątą rocznicę Statutu Westminsterskiego, cztery ważne kolonie imperium zmuszą znów Londyn do przyrzeczenia im niepodległości.

W istocie, waga wydarzeń światowych, dziejących się przed naszymi oczyma, usuwa nieco z ciężarstwa, które jeszcze dla poprzedniej generacji bytych czymś nieprawdopodobnym. A jednak warto poświęcić mu kilka chwil uwagi. Cośkolwiek zaniżyć do niego, które poprzedzały sam imperium.

Połowa XIX w. przynosi ciekawy paradoks. Z jednej strony zdobywcy kolonii, po wyłączeniu się ze wstrząsu, wywołanego utratą północnej Ameryki i zwrotem szeregu wysp Francji i Holandii, przechodzą znowu do posiadłości, szybko rozszerzających władzę imperium. Drugie pięćdziesiąt lat zeszłego wieku umacnia Anglię w roli potęgowo-wschodniej; przejęcie administracji Indii z rąk „East India Company” po buncie spaiństw i wiktoriański tytuł „cesarzowej Indii”; aneksja Buryi, Hongkongu, Malajów i Nowej Zelandii; wejście do Afryki, początkowo prywatnymi kompaniami, w rodzaju „South Africa Company” sir Cecil Rhodesa, zajęcie Egiptu i Sudanu; wszystkie te podboje doprowadzają do niezwykłej potęgi i rozległości władztwa korony brytyjskiej.

Równocześnie jednak — i to jest właśnie paradoksem — wśród polityków brytyjskich rozprzestrzenia się koncepcja antykolonialna. Wydaje się, że dwa czynniki grały tu rolę. Pierwszy to zainteresowanie Europą. Największy imperialista wczesnej epoki wiktoriańskiej Palmerston nie kierował uwagą — i interwencję — na kontynent, wyrażając pogardę dla kolonii. W czasie pewnej debaty parlamentarnej powiedział lekceważąco: „Musicie pokazać mi na mapie, gdzie znajdują się te przeklęte miejsc”. Drugim czynnikiem była, że tak powiem, obsesja amerykańska; przekonanie, iż każda kolonia przeżyje czy później zburzy się. Z tego przekonania wynika niezwykle ważna konsekwencja praktyczna. W latach 1840—1875, a więc w okresie najbardziej intensywnego podboju kolonialnego, Anglia godzi się na powstanie trzech dominiów — Kanady, Australii i Nowej Zelandii — do których później dołączyła Unia Południowo-Afrykańska. W zamian potęgi imperium mamy już załóżki

tendencji odśrodkowych, które za naszych czasów sprowadzają jego zmierzchni.

Te cztery „stare” dominia nazywa się słusznie „English speaking dominions”, w odróżnieniu od nowych, powstałych po II wojnie. Wszystkie one rozwinięły się bowiem z dawnych kolonii emigrantów, dobrowolnych jak w Kanadzie, lub przymusowych jak w Australii. W intencji Anglików z metropolii brytyjska ludność tych dominiów miała stanowić naturalne odgałęzienie interesów Wyspy. Dla osiągnięcia owych celów prowadzono bardzo prężną politykę: popierano ekonomicznie miejscową burżuazję, wiążąc ją równocześnie mocnymi niemi systemu bankowego i przemysłu z Anglią. W miarę jednak upływu czasu dominia pragnęły coraz większą samodzielności politycznej. Proces ten przyspieszyła I wojna światowa. Dominia, które wydatnie pomogły Anglii finansowo, żądały uznania swej niepodległości i przedstawicielstwa w Lidze Narodów. Formalną akceptację tych żądań stanowił drugi Statut Westminsterski, który ogłosił, że parlament brytyjski nie będzie miał od teraz prawa ustawodawstwa dla dominiów; że mają one także prawo decydowania o wojnie i pokoju; że wreszcie premierzy ich zaliczają się jedynie do Króla, a konferencje Wspólnoty są zebraniem równych. Statut wymieniał, prócz wspomnianych czterech dominiów, Irlandię i Nową Fundlandię. Pierwsza zerwała z Commonwealthem w r. 1948, druga rok później weszła w skład Kanady.

Jakież więc więzy — poza abstrakcyjnym posłuszeństwem monarche — łącząy dominia z Anglią? Niewątpliwie więzy gospodarcze. W rok po Statucie ustalono w Ottawie system preferencji imperialnych. W zamian za zwolnienie towarów pochodzących z dominiów od powszechnego 10 proc. cła, Anglia zapewniła sobie cła preferencyjne, które były np. w Australii 2 razy, w Nowej Zelandii 2—3 razy, w Kanadzie 1,5 raza, w Indii 2—3 razy, a w imporcie — z 25 proc. do 38 proc. W tym samym czasie utworzony został blok szterlingowy, obejmujący kraje Imperium (bez Kanady i N. Zelandii), kraje skandynewskie, Bliski Wschód oraz kolonie Belgii, Holandii i in. Sufaża ta pozostała w zasadzie niemiernie do dnia dzisiejszego, chociaż formalnie obejmuje mniejszą ilość państw.

Tak więc u progu II wojny światowej władztwo korony brytyjskiej opierało się na dość pewnym „dwójnym” panowaniu politycznym w koloniach i preferencyjnych więzich gospodarczych z dominiem. Późniejsze jednak wydarzenia — zarówno sama wojna jak i lata po niej następujące — przyniosły cięsy tak silne i tak różnorodne, że starannie wypracowany system musiał się pod nimi zachwiać.

Zacznijmy od strony gospodarczej. W czasie wojny Anglia stosowała szeroko długoterwale zamrażanie aktywów szterlingowych. Miało to doraźny walor nieodpłatnego ściągania żywności, surowców i usług z krajów Commonwealthu na potrzeby wojenne. Dalszy efekt był jednak fatalny. W momencie zakończenia wojny zadłużenie szterlingowe Anglii w krajach Imperium i strefy szterlingowej wyniosło astronomiczną liczbę 2 miliardów 674 milionów funtów! Rzecz jasna, zniszczona i wycieńczona wojną Anglia nie mogła płacić. Po raz pierwszy stała się generalnym dłuż-

większy się czterokrotnie i zbliżył w liczbach absolutnych do wolumenu brytyjskiego. Nawet eksport Stanów do Indii w czasie, gdy były one jeszcze kolonią angielską, wzrósł w ciągu 10 lat piętnastokrotnie!

Aby zrozumieć wymowę tych cyfr, pamiętać trzeba że gospodarkę angielską bazuje w pierwszej linii na handlu z koloniami i dominiami, które zajmują ponad połowę całego brytyjskiego obrotu zagranicznego.

Ciosy polityczne przyszyły niemal nagleżut po zakończeniu wojny. Rok 1947: Indie, owa perła bryty-



Następca tronu angielskiego liczy już sobie 7 lat

niem wszystkich swoich dominiów. I to diałnikiem bez perspektyw: do dzisiaj dodatnie saldo szterlingowe tych krajów wynosi ok. 2 mld. funtów.

Ten cios jednak wydaje się słabym w porównaniu z innym. „Panie prezydencie, jestem przekonany, że chce pan skończyć z Imperium Brytyjskim. Wskazuje na to każda pańska koncepcja urzędnika światła po wojnie. Ale mimo to wiemy, że Pan stanowi nam jedną nadzieję. I Pan wie, że my wiemy o tym. Pan wie, że wiemy, iż bez Ameryki Imperium się nie ostoi”. Tak zanotował Eliot Roosevelt rozmowę z młodym Churchillem z jego ojcem w roku 1941. Te smutną dla Wielkiej Brytanii prawdę potwierdzają niezliczone dane statystyczne.

Ekspert z Anglii do krajów Imperium wrzucił między r. 1939 a 1950 prawie dwukrotnie. W tym samym okresie eksport USA po-

skiej korony, uzyskały samodzielność; równocześnie z nimi Pakistan i Ceylon; Birma nie chciała nawet pozostać w ramach Commonwealthu. W ciągu jednego roku utraciono najbogatsze kolonie azjatyckie. Nie myślaro chyba wtedy, że równo w dziesięć lat później, w roku 1957, ma nastąpić ponowny wielki eksodus. Niedawne konferencje w Londynie i wizyta królowej Elżbiety w Nigerii ujawniły światu, że w tym właśnie roku uzyskują statutu dominialny cztery dalsze ważne kolonie — Malaje w Azji, Nigeria i Złote Wybrzeże w Afryce, Indie Zachodnie w basenie morza Karaibskiego. A wszystko wskazuje na to, że za nimi pójdzie federacja Rodzejii i Nyassy, ostatnia duża kolonia brytyjska w Afryce.

Entuzjastom Commonwealthu mówią: — Pięknie, Wspólnota rozszerza się; zmiast stosować francuską politykę kurczowego trzymania się

starych form kolonialnych, my wychodzimy naprzeciw wydarzeniom. Oczywiście tak. Anglijskie są w tym wypadku mądrzejsi od sąsiadów z kanału La Manche. Ale — zastanówmy się, co będzie więzią tego organizmu. Czy czasem rozbudowa ilościowa nie stanowi zarazem *reductio ad absurdum* politycznego sensu tworu, zwanego Brytyjską Wspólnotą Narodów?

Patrząc w perspektywie na rozwój stosunków Wielkiej Brytanii z dominiami musimy pamiętać, że nowa dominia różni się barzo istotnie od starych. Tamże tworzyła ludność „mówiąca po angielsku”, powiązana ze swą starą ojczyzną. Te powstają w wyniku emancypacji narodowej ludów kolonialnych, ludów, których nie z Anglikami nie łączy, a bardzo wiele dzieli — dzieł poczuć wielkiej krzywdy i brutalnego władztwa białego pana. I waptliwym jest, czy te uczucia zrównoważy reklamowany przez samych Anglików podziw dla człowieka, który wyniósł milicyj, pali fajkę i o piętej przebiera się w smoking w środku dżungli; obserwacje wskazują, że podziw ten istnieje jedynie w imaginacji londyńczyków, bo już nawet nie urzędników kolonialnych.

Musimy też pamiętać, że tendencje odśrodkowe mają zupełnie realne tło ekonomiczne. Od wewnątrz — nierównomierność rozwoju metropolii i nowych dominiów, od zewnątrz — wzrastająca, jak już wiódzielismy, rola Ameryki w handlu i gospodarce dominiów.

Nie bądmy zresztą ogólnikowi i spojrzmy, co d z i s i a j łączy kraje Wspólnoty, poza oświadczoną „common allegiance to the Queen”.

Ustrój polityczny? Nie. Indie są republiką, śladami ich idzie Pakistan i Unia Płd. Afrykańska. Formalny problem konstytucyjny? Oczywiście, gubernator generalny Unii nie patrzy dziś przychylnie na Londyn, niż prezydent Indii, chociaż z całkiem innych względów. Ale dla narodu tak przywiązanego do tradycji, jak Anglij, zmiana tytułu ma ogromne znaczenie i stanowi realny symbol zbrodnicia Imperium.

Polityka zagraniczna? Warto cofnąć się do precedensu mało zauważanego i może mało istotnego politycznie, ale ciekawego. W okresie II wojny, Irlandia, będąc jeszcze włądy dominium brytyjskim, ogłosiła swą neutralność. Istotnie, miała do tego prawo w myśl Statutu Westminsterskiego; jednakże wszyscy teoretycy angielscy uznawali milczenie domniemania, iż decyzja w sprawie tak zasadniczej, jak wojna — w dodatku powszechna i tocząca się na tym samym kontynencie — musi być podjęta solidarnie przez wszystkie kraje Wspólnoty. Powiedzyli, że to był fakt osobisty, nie mający nadzieję — niepowtarzalny ze względu na brak podobnej sytuacji. Ale spojrzmy dzisiaj na politykę zagraniczną w czasie pokoju. Na Indie, która prowadzi całkowicie niezależną linię „pięciu zasad” i które niejednokrotnie występują przeciw Anglii na terenie ONZ; na Pakistan, który toczy ze swą siostrą w Wspólnotę spór zażarty i wrogi o Kaszmir. Na Unię Płd. Afrykańską, która dyskryminuje Hindusów, zamieszkałych na jej terytorium. Jak widać, stosunki zagraniczne, zarówno w ramach jak i poza Commonwealthem, daleko odbiegają od sensu słowa „Wspólnota”.

Polityka wewnętrzna? Wystarczy, gdy się porówna system „apartheid” w Unii Płd. Afrykańskiej z równością rasową w Indiach.

Zależność ekonomiczna od Anglii? Kanada prowadzi handel w większym procencie z USA, niż z Wielką Brytanią. Nie należy też do strefy szterlingowej. Można przy-puścić, że federacja Karaibskich, a także Malaje — mimo oficjalnych zapewnień — wejdą do strefy dolarowej, indie budują własną, niezależną gospodarkę. Nawet premier malajski zapowiedział, że przemysł brytyjski będzie musiał inwestować swe żyłki na Malajach, a nie wwozić je do Londynu itd. itd.

Nie dziwnego, że w tej sytuacji londyński tygodnik „The Tablet” pisał na marginesie zeszlonecznej konferencji premierów Commonwealthu — „Pojęcie Brytyjskiej Wspólnoty posiada piękny i sentymentalny wymowę, której szkoda niszczyć. Ale nadszedł czas, gdy musimy zapytać, czy Wspólnota nie jest zbyt mało skuteczna i czy może być uważana za realną organizację polityczną?”

Nad tym pytaniem już od kilku lat zastanawiają się politycy brytyjscy. Widząc, jak bardzo niktę stają się więzy, łączące W. Brytanię z obecnie istniejącymi dominiami, tworzącymi nowe koncepcje. Na ogół zbiegają się one w poszukiwaniu nowych członków Wspólnoty, nawet krajów obcych i niepołączonych. Jedne z nich depatrują się przyszłości Commonwealthu w Afryce. W tym celu pragną powiązać istniejącą Wspólnotę z państwami, które mają swe kolonie na Czarnym Lądzie, aby stworzyć gospodarce zaplecze Europy Zachodniej. Poglądy te wypowiedział oficjalnie Bevin, ówczesny minister spraw zagranicznych, przemawiając 22 stycznia 1948 r. w Izbie Gmin — „Należy ekonomicznie wesprzeć organizację Zachodniej Europy. Pocięga to za sobą najbliższą współpracę Brytyjskiej Wspólnoty Narodów z terytoriami zamorskimi, i to nie tylko brytyjskimi, ale francuskimi, belgijskimi, holenderskimi i portugalskimi”. A więc jakiś gigantyczny plan wspólnoty kolonialistów, świętego przy-mierzera przeciwko ruchom narodo-wo-wyzwoleńczym.

Inna koncepcja, która pojawiła się niedawno w związku z dalszym rozszerzeniem skłau Commonwealthu, nawiązuje do tradycji Palmerstone’a. Politycy brytyjscy sondują mianowicie opinię państw europejskich co do ich ścisłego powiązania gospodarczego z Imperium. Miałoby to — jak pisze „New York Times” — „przyniosło kie-rownictwo W. Brytanii w Europie, jej dawne bogactwo, prestiż i wpływ w sprawach światowych. Zwolennicy planu twierdzą, że łącznie 270 milionów ludności Europy Zachodniej z 500 milionami mieszkańców państw Wspólnoty otworzyłoby szerokie ujście dla sił roboczych, kapitału itd.”.

No cóż, piękna fantazja... Ale — przypomina ona żywo sposób myślenia hazardzisty, który — przegrywając na pewnym numerze — stawia na niego raz jeszcze podwójną sumę, aby przebić passę. Wiemy dobrze, jak rzadko udają się one przy zielonym stoliku — a chyba nigdy w polityce. Wiemy też, że obiektywne siły i kierunek rozwoju historii nie dają się zwleść najbardziej efektywnymi posunięciami.

JANUSZ STEFANOWICZ

„Chrystus zatrzymał się w Ebelli, w pobliżu Salerno, tam gdzie była kolejąca opuszczona wyrzeźbiona białe ołtarz poprzecz smutne ziemi Łukanii (...) Chrystus tutaj nie doszedł, tak jak nigdy nie dotarł tu Rzymianie, którzy wojnę trwały się zawsze głównych sła-ków nie zagłębiając się w lasy i palnia gorące, tak jak nie przy-bili tu Gocy, którzy bogato żyli nał brażem maza, w nieśpocony i Sybaris. Lata mijają znaczone jedynie trokami i męka chłopca: żaden głos ludzki czy boski nie dociera do tej wieżowej i beznadziejnej nędzy...” Tak pisze Carlo Levi, znany pisarz włoski, w swiej głodnej księżce pt. „Chrystus zatrzymał się w Ebelli”, książce, która wstrząsnęła sumieniem wielu ludzi, dając straszliwy obraz losu włoskiego Półdnia.

Dołki postępowej literaturze i filmowi prawda o stosunkach, jakie panują w tej części Włoch przynika do coraz szerszych kręgów światowej opinii publicznej. Pisarze i artyści ujawniają nęczę i opuszczenie, które łączyliśmy a i rządy pofaszystowskie również, starają się troskliwie ustrzywać. Wielu bowiem przedstawicieli klas rządzących Włoch nie pragnie wcale poprawy losu Półdnia; traktują oni tę prowincję jako kraj niemalże kolonialny, który pozbawiony własnego przemysłu stanowi otwarty rynek zbytu, a także niewyczerpany rezerwuwar rąk do pracy, do którego zawsze można sięgnąć gdyby robotnicy na Północy stali się zbyt hardzi.

Klasy rządzące nie chcą koniecznych reform, gdyż reformy te musiałyby oznaczać rezygnację z wielu tak drogich przywilejów, wola raczej lansować tzw. „politykę cudów” (miraculismo), która ma na celu przekonanie szerokich mas, że jedynym wyjściem z nieszczeźnej nęczęjczychy Włochy jest budowa Zjednoczonej Europy lub też, że wytryśnięcie ropy sprawi, iż cały kraj w najbliższym czasie stanie się prawdziwym Eldorado. Choćby jednak wszystkie granice od Elby aż do Pirenei, od Slezewic aż do Sycylii, zostałyby nagle otwarte, nie ma mowy, aby Europa Szóstcu był-

ła w stanie pochłonąć bezrobotne rzesze włoskie. Jeśli właśnie się również pod uwagę fakt, że nowo-odkryte złoża ropy naftowej stały się ostatnio przedmiotem intryg, a byżasmani amerykańscy chcą zagarnąć dla siebie eksploatację ropy w północnej, nie wahaają się oskarżać rząd włoski o „kminizm”, wydrę-je się rzeczą dość wątpliwą, aby to naturalne bogactwo miało w ciągu kilku lat wzbogacić biednych z całej Włoch i dać pracę bezrobotnym.

Władze włoskie boją się reform i przesładają tych, którzy upominają się o prawo do życia i pracy dla ludu Łukanii, Kalabrii czy Sycylii. Ofiarą przesławdzano pod również Danilo Dolci, którego imię nie schodzi dziś ze szpalit gazet. „Afera Dolci” jest przedmiotem najżarliwszych polemik i stała się bardziej znana niż niegdyś „spraw-

ska” nędzarzy i więzionych bandydów. Danilo (tak wszyscy go tam nazywają) żenił się z wdową po sycylijskim chłopie, młoką pięciorga dzieci. Ma z nią dwoje własnych dzieci, a ponadto adoptuje pięciorga sierot. Po pewnym czasie Dolci założył w Bożym Miasteczku Uniwersytet Ludowy i choć napotyka na nieskończone przeszkody ze strony lokalnych władz, udaje mu się wreszcie go zorganizować. Zakłada spółkę matorończyków z Trappeto, mającą na celu nawodnienie tamtejszych terenów przy bezinteresownej pomocy walejących włoskich techników. Wreszcie, po licznych podrózkach na kontynent w poszukiwaniu konkretnej pomocy i rady wybitnych, a nie pobawionych pewnych ideałów politycznych, ludzi, pisze swoją pierwszą książkę. Nosi ona tytuł „Fare presto (e bene) perche si muore”

Levi, Galante Garrone, od malarzy Renato Guttuso i Corrado Cagli, od Narodowego Związku Robotników Najemnych i wielu, wielu innych. O ile jednak ten rozpaczyliwy apel poruszył do głębi pisarzy, reżyserów, malarzy i innych przedstawicieli włoskiego świata kulturalnego, o tyle nie znalazł zrozumienia wśród czynników rządzących.

W dniu 30 stycznia, robotnicy i rybacy „trójkąta grodu”, zwanego inaczej „trójkątą bandytów”, odbyli protestacyjną głodówkę, w czasie której zapadła decyzja rozpoczęcia tzw. strajku „na opak”, który polega na tym, że bezrobotni sami przystępują do pracy w nadziei uzyskania potem należnej im zapłaty. Nazajutrz Dolci zwrócił się z następującym apelem do mieszkańców Partinico: „Przyjaciele z Partinico,

mi, w którym wszyscy będą mogli żyć jak ludzie. Niech nikt nie pozostaje z złośliwymi rękoma, niech nie marnotrawi w sposób niegodny swego czasu. Zarówno jednostkom jak i ogółowi pożytek może przynieść tylko i wyłącznie praca. Mężczyźni i kobiety, młodzie i starzy, ludzie ze wszystkich partii, ludzie, służący różnym ideałom — zkasemy rękawy i wydobyjemy się z tego materialnego i duchowego zastoi. Jeśli nie spróbujemy wydobyć się sami z tego upokarzającego stanu — to czyż możemy oczekiwać, że ktoś nam pomoże w walce?”

Wybaczamy tym, którzy wyrzadzali nam krzywdy, lecz pragniemy dla nas i dla wszystkich ludzi dośkonalszych stosunków społecznych. Jesteśmy pewni, że nie znajdzie się nikt, kto by nam przeszkodził w tym świętym dziele”.

„AFERA DOLCI”

Izabella Kopeć

„Należy działać szybko i dobrze gdyż ludzie umierają”. Książka ta to wstrząsająca statystyka i dokument sycylijskiej nędzy, wielkie oskarżenie rzucone pod adresem tych, którzy są za ten stan rzeczy odpowiedzialni. W ten sposób Dolci staje się pisarzem, podobnie jak przedtem był murarzem, robotnikiem, rybakiem, architektem lub pielęgniarzem, pobudzany zawsze do działania koniecznością chwili i umiłowaniami sprawy.

Któraś z włoskich gazet porównała Danila Dolci do księdza Piotra, apostoła i opiekuna paryskich bezdomnych. W styczniu br. bezrobotni, zamieszkałi w tzw. „trójkąta grodu” Partinico, Balesarate, Trappeto, którzy od dłuższego czasu znajdowali się w rozpaczyliwej sytuacji, kierowani przez Dolcego zwrócili się z dramatycznym apelem do społeczeństwa włoskiego. Apel znalazł szerokie echo w całych Włoszech. Do Partinico nadeszły liczne dary i setki telegramów, wyrażających solidarność z bezrobotnymi. m. In. od Alessandro Blasetti, Vittorio de Sica, Federico Fellini, Tomino Guerra, Cesare Zavattini, Calamandrei, od pisarzy Alberto Moravia, Carlo

Levi, Galante Garrone, od malarzy Renato Guttuso i Corrado Cagli, od Narodowego Związku Robotników Najemnych i wielu, wielu innych.

O ile jednak ten rozpaczyliwy apel poruszył do głębi pisarzy, reżyserów, malarzy i innych przedstawicieli włoskiego świata kulturalnego, o tyle nie znalazł zrozumienia wśród czynników rządzących.

W dniu 30 stycznia, robotnicy i rybacy „trójkąta grodu”, zwanego inaczej „trójkątą bandytów”, odbyli protestacyjną głodówkę, w czasie której zapadła decyzja rozpoczęcia tzw. strajku „na opak”, który polega na tym, że bezrobotni sami przystępują do pracy w nadziei uzyskania potem należnej im zapłaty. Nazajutrz Dolci zwrócił się z następującym apelem do mieszkańców Partinico: „Przyjaciele z Partinico,

mi, w którym wszyscy będą mogli żyć jak ludzie. Niech nikt nie pozostaje z złośliwymi rękoma, niech nie marnotrawi w sposób niegodny swego czasu. Zarówno jednostkom jak i ogółowi pożytek może przynieść tylko i wyłącznie praca.

Mężczyźni i kobiety, młodzie i starzy, ludzie ze wszystkich partii, ludzie, służący różnym ideałom — zkasemy rękawy i wydobyjemy się z tego materialnego i duchowego zastoi. Jeśli nie spróbujemy wydobyć się sami z tego upokarzającego stanu — to czyż możemy oczekiwać, że ktoś nam pomoże w walce?”

Wybaczamy tym, którzy wyrzadzali nam krzywdy, lecz pragniemy dla nas i dla wszystkich ludzi dośkonalszych stosunków społecznych. Jesteśmy pewni, że nie znajdzie się nikt, kto by nam przeszkodził w tym świętym dziele”.

Wybaczamy tym, którzy wyrzadzali nam krzywdy, lecz pragniemy dla nas i dla wszystkich ludzi dośkonalszych stosunków społecznych. Jesteśmy pewni, że nie znajdzie się nikt, kto by nam przeszkodził w tym świętym dziele”.

Wybaczamy tym, którzy wyrzadzali nam krzywdy, lecz pragniemy dla nas i dla wszystkich ludzi dośkonalszych stosunków społecznych. Jesteśmy pewni, że nie znajdzie się nikt, kto by nam przeszkodził w tym świętym dziele”.

Wybaczamy tym, którzy wyrzadzali nam krzywdy, lecz pragniemy dla nas i dla wszystkich ludzi dośkonalszych stosunków społecznych. Jesteśmy pewni, że nie znajdzie się nikt, kto by nam przeszkodził w tym świętym dziele”.

Wybaczamy tym, którzy wyrzadzali nam krzywdy, lecz pragniemy dla nas i dla wszystkich ludzi dośkonalszych stosunków społecznych. Jesteśmy pewni, że nie znajdzie się nikt, kto by nam przeszkodził w tym świętym dziele”.

Wybaczamy tym, którzy wyrzadzali nam krzywdy, lecz pragniemy dla nas i dla wszystkich ludzi dośkonalszych stosunków społecznych. Jesteśmy pewni, że nie znajdzie się nikt, kto by nam przeszkodził w tym świętym dziele”.

Wybaczamy tym, którzy wyrzadzali nam krzywdy, lecz pragniemy dla nas i dla wszystkich ludzi dośkonalszych stosunków społecznych. Jesteśmy pewni, że nie znajdzie się nikt, kto by nam przeszkodził w tym świętym dziele”.

Wybaczamy tym, którzy wyrzadzali nam krzywdy, lecz pragniemy dla nas i dla wszystkich ludzi dośkonalszych stosunków społecznych. Jesteśmy pewni, że nie znajdzie się nikt, kto by nam przeszkodził w tym świętym dziele”.

wanie Danilo Dolciego — wywołują tu prawdziwy ból. Jesteśmy pewni, że Twoje szybkie, mądre i braterskie zainteresowanie się sprawą przyniesie pokój i pogodę w tej tak ciężko dotkniętej okolicy”.

W dniu 3 lutego w siedzibie Międzynarodowego Stowarzyszenia Artystycznego odbyło się posiedzenie rzymskich intelektualistów, w czasie którego przyjęto jednogłośnie rezolucję następującej treści:

„My, rzymscy intelektualści, zgromadzeni w siedzibie Międzynarodowego Stowarzyszenia Artystycznego, dowiedzieliśmy się o aresztowaniu pisarza Danila Dolci, robotnika najemnych, rybaków i działaczy związkowych Partinico, pod zarzutem, iż są on „agitatorami”, gdyż zorganizował pokojową manifestację, by domagać się prawa do pracy i do życia, zepewnianego uroczycie przez włoską konstytucję.”

Jesteśmy głęboko zdumieni i oburzeni, że zamiast ulżenia nędzy, która ukazała Włochom książka Danila Dolci, władze usiłują się do przesławdzania i aresztowania, to jest do metod używanych tradycyjnie, by reżymem dawno już dojrzałemu historycznie wyboleniu ludności południowych Włoch.

Jesteśmy przeświadczeni, iż zadaniem intelektualistów jest jednogłośnie działanie mające na celu wywołanie nędzy i niesprawiedliwości i dlatego wstawimy nasz głos do głosu tych, którzy stojąc takie metody, jakich wymagają okoliczności, żądali przekształcenia i odnowienia społeczeństwa południowych Włoch.”

Domagamy się natychmiastowego zwolnienia więzionych i przyłączamy nasz głos do głosu tych, którzy stojąc takie metody, jakich wymagają okoliczności, żądali przekształcenia i odnowienia społeczeństwa południowych Włoch.”

Na skutek ogromnej fali protestów, napływających z całych Włoch, dzięki interpelacji posłów parlamentu, którzy 14 lutego, pozwolili oskarżyciel rząd za jego politykę w storkunku do południowych Włoch i domagali się, aby słowa prezidenta Gronchego zapowiadające lepszą przyszłość Sycylii nie pozostały tylko pustym frazesem, proces przeciw Dolciemu i jego towarzyszącym został odcroczony.

PARADOKSY CHRZEŚCIJAŃSTWA

RZECZYWISTY kłopot z tym naszym światem polega nie na tym, że świat jest — irracjonalny, ani nawet na tym, że jest racjonalny. Największy kłopot wynika stąd, że świat jest prawie że racjonalny, ale niezupełnie. Życie nie jest nieograniczoną. A jednak jest ono pułapką na logikę. Na pozór wydaje się bardziej regularne i matematyczne, niż jest w rzeczywistości. Dokładność jego jest oczywista, a niedokładność ukryta. Czeka. Czyha. Dam prymitywny przykład.

Przypuśćmy, że jakiś matematyczny stworzenie z księżycą, ma sumarycznie opisać ludzkie ciało. Najpierw dostrzeże, że istotną cechą tego ciała jest podwojenie. Jeden człowiek to dwóch ludzi, prawa strona przypomina dokładnie lewą. Zważymy ramię z prawej strony i ramię z lewej, nogę z prawej i nogę z lewej, spostrzeżemy dalej owo stworzenie tę samą ilość palców u rąk i nóg, dwie oczy, uszy, nozdrzy, a nawet dwa płaty mózgowego. W końcu uzna tę podwojność za prawo i znajdzie się z jednej strony serce, wywnioskując, że takie samo musi być również z drugiej strony. I popęnie błąd właśnie wtedy, gdy będzie najpewniejше swej siusznosci.

To niezauważone odchylenie od dokłaźności — zaledwie na cal — stanowi niesamowity pierwiastek wszystkiego, jest czymś w rodzaju tajemnej zarady we wszechświecie. Jakiś czy pomarancz są dostatecznie okrągłe, by im nadać ten przybliżony, a jednak w rzeczywistości nie są idealnie okrągłe. Sama ziemia ma kształt pomarańczy i wprowadziła w błąd przedłużonego astronoma, który nazwał ją kugą.

We wszystkich rzeczach znajdujemy pierwiastek spokoju i nieobliczalności. Wynika się on racjonalistom, ale zawsze dopiero w ostatniej chwili. Z wielkiej krzywizny naszej ziemi można by łatwo wnioskować, że każdy cal jej powierzchni jest równie krzywizną. Są, że człowiek ma po obu stronach serce, co było, że po obu stronach ma mózg, wydawałoby się racjonalny. Ale ludzie nauki dotąd organizują wyprawy do bieguna północnego, bo mają upodobanie do piaskiego terenu. Uczni organizują też wyprawy, aby odkryć ludzkie serce. Na ogół, gdy próbują je znaleźć, nie znajdują po właściwej stronie.

Otóż prawdziwość poznania lub namnienienia najlepiej sprawdzić pytając, czy zgaduje ono te ukryte zniekształcenia i niespodzianki. Jeśli nasz matematyk z księżycy widzi dwoje ramion i dwoje uszu, to może wnioskować o dwóch łopatkach i półkach mózgowych. Gdyby jednak odgadł on, że serce ludzkie jest jedno i na właściwym miejscu, to bym go uznał za coś więcej niż za matematyka. Otóż to jest właśnie umiejętności, do jakiej reści pretensje chrześcijaństwo i którą zamierzam tu wyłożyć. Nie tylko wyprowadza ono prawdy logiczne, ale i w tym, co nagłe staje się nielogiczne, odkrywa ono, jeśli tak można powiedzieć, prawdy nielogiczne. Nie tylko widzi ono rzeczy tak jak trzeba, ale je również widzi krzywo (jeśli tak można się wyrazić) tam, gdzie one okazują się krzywe. Jego metoda pasuje do ukrytych nieprawdopodobności, oczekuje nieoczekiwanego. Chrześcijaństwo jest proste wobec prawd prostych, lecz nieugięte wobec prawdy subtelnej. Uzna ono, że człowiek ma dwie ręce, ale nigdy nie potwierdzi, choć wszyscy modernisi nad tym lamentują, oczywistego wniosku, że ma on dwa serca. W tym rozdziale zamierzam jedynie wykazać, że ilekroć poczytamy, że w teologii chrześcijańskiej jest coś dziwnego, tylekroć zazwyczaj przekonamy się, że jest coś dziwnego w prawdzie.

Mówiłem już o niedorzecznym twierdzeniu głoszącym, że takiej lub innej wiary nie można wyznawać w naszym wieku. Jest rzeczą oczywistą, że w każdym wieku można wierzyć we wszystko. Ale dziwnym trafem można w pewnym sensie wyznawać jakąś wiarę (jeśli w ogóle się ją przyjmuje) konsekwentniej w społeczeństwie złożonym niż prostym. Jeżeli człowiek w Birminghamu uzna chrześcijaństwo za religię prawdziwą, to ma on w istocie oczywistsze powody do wiery niż gdyby ją uznał za prawdziwą w Mercei. Im bowiem bardziej złożony wydaje się zbieg okoliczności, tym mniej może być tylko zbiegiem okoliczności. Gdyby płatki śniegu spadały w kształcie pięnienia w Midlothian, np. mogłyby to być przypadki. Lecz gdyby padały one w kształcie labiryntu w Hampton Court, wówczas sądzić, że można by to nazwać cudem. Jako taki właśnie cud zacząłem uważać filozofię chrześcijańską. Złożoność naszego nowoczesnego świata dowodzi prawdziwości wiary doskonałej, niż jakiegokolwiek proste zagadnienie z tych stuleci, w których wiara była powszechna. Dopiero w Notting Hill i Battersea zacząłem widzieć prawdę chrześcijaństwa. Dlatego wiara posiada tak drobniogłowy wypracowane doktryny i szczegóły, doprowadzające do rozpaczy tych, którzy podziwiają chrześcijaństwo — nie wierząc w nie. Gdy już kto przyjął wiarę, wówczas jest on dumny z jej złożoności, podobnie, jak uczeni są dumni ze złożoności nauki. Dowodzi to,

jak bardzo bogata jest ona w odkrycia. A jeśli jest w ogóle prawdziwa, to wielką pochwałą będzie twierdzenie, że wiara jest prawdziwa przez włożony w nią trud. Kij do dziury i kamień do wglębienia mogą dopasować się przypadkiem. Ale klucz i zamek są złożone. Jeśli klucz pasuje do zamka, to wiadomo, że jest to klucz właściwy.

Ta zawiła dokłaźność rzeczy bardzo mi utrudnia to, co muszę teraz zrobić, tj. opisanie tego nagromadzenia prawdy. Ogromnie ciężko jest bronić tego, o czym się jest całkowicie przekonany. Względnie łatwo jest to czynić, gdy się jest przekonany tylko częściowo, bo w tym wypadku znalazło się ten albo ów dowód i można go wyłożyć. Ale nikt nie jest naprawdę przekonany o słuszności teorii filozoficznej, jeżeli odkrywa, że coś jej dowodzi. Człowiek tylko wówczas jest naprawdę przekonany, gdy widzi, że wszystko jej dowodzi. A im więcej znajduje zbitych dowodów na słuszność tej teorii, tym bardziej zdumiewa się, gdy mu wypadnie nagle je podsumować. Gdybyśmy np. pytali zniemacka przeciwnego inteligenta, dlaczego przekłada cywilizację nad dzikość, wówczas sprzyrzyby błędnym wzrokiem na ten i ów przedmiot i mógłby tylko bezładnie odpowiedzieć: „No, jest tu szafa na książki, węgiel w kubilku... pianino... są policjanci...” Wszystko co przemawia za cywilizacją świadczy jednocześnie, że jest to sprawa bardzo złożona. Stworzyła ona tyle rzeczy. Ale już sama wielość dowodów, która powinna uczynić odpowiedź przytłaczającą, czyni ją prawie niemożliwą.

W każdym więc przekonaniu całkowitym tkwi jakaś ogromna bezradność. Wiara jest tak wielka, że trzeba dużo czasu na wprowadzenie jej w czyn. A wahanie to pochodzi, rzecz dziwna, głównie stąd, że obójtne jest, od czego mamy zacząć. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, co jest jedną z przyczyn, dlaczego tak wielu ludzi nigdy tam nie dochodzi. Wyznając, że w wypadku obrony przekonań chrześcijańskich, można rozpocząć dowodzenie od każdej rzeczy, zarówno od rzepy jak i od taksówki. Słowo jednak mam obać o jasności wykładu, najlepiej będzie podjąć wątek aktualnych dowodów z ostatniego rozdziału, w którym chodziło o podkreślenie pierwszej z tych mistycznych zbitych lub raczej potwierdzenia. Wszystko, com slyszal dotychczas o chrześcijańskiej teologii, odstręczało mnie od niej. Byłem już poganinem w wieku lat dwunastu, a mając lat szesnaście stałem się zupełnym agnostykiem. Nie rozumiem, jak człowiek konczący siedemnasty rok życia nie zastanawia się poważnie nad swoim stosunkiem do wiary. Oczywiście, zatrzymałem pewien mglisty szacunek dla kosmicznej boskości i wielkie historyczne zainteresowanie dla Założyciela chrześcijaństwa. Jednakże uważałem Go, rzecz jasna, za człowieka tylko, choć może i szaleńca, że nawet pod tym względem ma On przewagę nad niektórymi Jego nowoczesnymi krytykami. Czytałem naukową i sceptyczną literaturę swych czasów, a przynajmniej wszystko, com mogłem znaleźć pod ręką w języku angielskim. I innego nie czytałem, to znaczy, nie czytałem nie takiego, co by nasświetlało w sposób odmienny zagadnienia filozofii. Groszowe epowieści pełne okropności, które również pochaniałem, posiadały w swej istocie ducha zdrowej, bohaterskiej tradycji chrześcijańskiej, ale o tym wtedy jeszcze nie wiedziałem. Nie przeczytałem nigdy jednego nawet wiersza z apologetyki chrześcijańskiej, a i teraz czytam ją tak mało, jak tylko mogę. Do teologii ortodoksyjnej popchnęli mnie Huxley, Herbert Spencer i Bradlaugh. Oni to zasiali w moim umyśle pierwsze dzikie wątpliwości o wątpliwości. Nasze babki miały całkowitą słusność, twierdząc, że Tomasz Paine i wolnomyśliciele niepokoją tylko nasze umysły. Do mojego wprowadzili oni nielad straszliwy. Racjonalista zmusił mnie do postawienia sobie pytania, czy umysł jest w ogóle pozytywny. Gdy zaś przeczytałem Herberta Spencera, posunąłem się już tak daleko, że zważyłem (po raz pierwszy) czy w ogóle istnieje ewolucja. Gdy odkładałem ostatni z ateistycznych wykładów pułkownika Ingersolla przemknęła mi przez głowę straszliwa myśl: „Tyś mnie prawie nawrócił na chrześcijaństwo”. Byłem w rozpaczliwym położeniu.

Ten dziwny skutek, jaki wywierają wiary agnostycy, wzbudzający wątpliwości znacznie głębsze, niż ich własne można zilustrować na różne sposoby. Bierę tylko jeden. Gdy wciąż od nowa odczytowałem wszystkie niechrześcijańskie i przeciwne chrześcijaństwu wyjaśnienia wiary, od Huxleya do Bradlaugha, wówczas zwojna, śćpniowo, ale coraz żywiej i wyraźniej narastało w moim umyśle wrażenie, że chrześcijaństwo musi być najbardziej niezwykłą rzeczą na świecie. Bo chrześcijaństwo (jak rozumiałem) posiadało nie tylko najjaszawsze wady, ale widocznie miało jeszcze i mistyczny talent łączenia w sobie wad pozornie całkowicie z sobą sprzecznych. Atakowano je ze wszystkich stron i z najbardziej sprzecznych powodów. Zaledwie jeden racjonalista wykręcał, że jest ono w swym charakte-

rze wschodnie, gdy już inny dowodził z równą oczywistością, że jest ono aż nazbyt zachodnie. Ledwie wygasło moje oburzenie na jego agresywną kanciastość, gdy już musiałem zauważać i potępiać jego zmysłowość, denerwującą głokość. Na wypadek, gdyby jakiś czytelnik nie społtkał się z tym, com mam na myśli, podam na chybił trafił takie przykłady sprzeczności sceptycznego ataku, jakie pamiętam. Wybieram spośród nich cztery czy pięć, a mógłbym ich wybrać jeszcze z pięćdziesiąt.

Byłem np. głęboko poruszony pełnym elokwencji atakiem na chrześcijaństwo, jako na rzecz nieludzko ponurą, uważałem bowiem (i uważam dotąd), że szczyry pesymizm jest niewybaczalnym grzechem. Nieszczery pesymizm w charakterze zalety towarzyskiej jest raczej przyjemny. Całe szczęście, że prawie każdy pesymizm jest nieszczery. Jeżeli jednak, jak twierdzili ci pisarze, chrześcijaństwo miało być czysto pesymistyczne i przeciwne życiu, to gotów byłbym na zimno wysadzić w powietrze katedrę Świętego Pawła. Lecz — niezwykłość sprawy leży w tym, iż dowiedziono mi w pierwszym rozdziale (ku mojemu zupełnemu zadowoleniu), że chrześcijaństwo jest zadość pesymistyczne, a zaraz w drugim rozdziale zaczynają mi dowodzić, że jest ono aż nazbyt optymistyczne. Jedno oskarżenie zarzucało chrześcijaństwu, że nie pozwala ono ludziom, nekając ich, chorobliwymi lekami i łzami, szukać radości i wolności na łonie natury. Następne jednak oskarżenie zarzucało mu, że pociesza ich fikcyjną opatrnością i umieszcza w białoróżowym dziecięcinym pokoju. Jeden wielki agnostyk zapytuje, dlaczego natura nie jest wystarczająco piękna i dlaczego trudno jest być wolnym. Jednocześnie inny wielki agnostyk protestuje przeciw temu, że chrześcijański optymizm, „fikcyjna szata utkana pobożnymi rękami”, ukrywa przed nami fakt, iż natura jest brzydka i że niepodobna być wolnym. Ledwie jednak racjonalista nazwał chrześcijaństwo koszmarem, już drugi nazywał je krańcą pęconych gołąbków. To mnie zastanowiło. Zarzuty wdały mi się sprzeczne z sobą. Chrześcijaństwo nie mogło przecież być jednocześnie czarną maską na białym świecie i białą maską na czarnym świecie. Położenie chrześcijanina nie może

być jednocześnie aż tak wygodne, że czeplanie się go jest dowodem tchórzostwa, a zarazem tak niewygodne, że znoszenie go jest gupotą. Jeśli chrześcijaństwo fałszuje ludzkie widzenie świata, to tylko w ten lub w inny sposób. Nie może ono jednocześnie nakładać różowych i zielonych okularów. Ze straszłą uciechą, jak wszyscy młodzieńcy w owym czasie, obracałem na języku sztyderstwa, miotane przez Swinburne'a na ponurości i smutek wjary.

„Zwyciężyłeś, błąd Galilejczyku, a świat zszarzał pod Twoim tęcznieniem”.

Ale, gdy przeczytałem epowieści tegoż poety, o świecie pogańskim, jak np. w „Atalancie”, to wyciągnąłem wniosek, że świat był, o ile to możliwe, jeszcze bardziej szary, przed tym tęcznieniem Galilejczyka niż po nim. Krótko mówiąc, poeta istotnie utrzymywał, że życie było wtedy czarne jak smoła. A jednak chrześcijaństwo w jakiś sposób jeszcze je bardziej zaciemniło. Ten, który oskarżał chrześcijaństwo o pesymizm, sam był pesymistą. Pomyślałem sobie, że coś tu jest nie w porządku. Przez chwilę błysnęła mi szalona myśl, że chyba nienajlepszym sędzią stosunku religii do szczęścia jest ten, który ze swej strony nie posiada ani jednego, ani drugiego.

Muszę tu podkreślić, że nie wywnioskowałem zbyt pośpiesznie iż oskarżenia są fałszywe lub, że oskarżyciele są głupcami. Wywnioskowałem po prostu, że chrześcijaństwo musi być czymś jeszcze bardziej niesamowitym i gorszym, niż oni je przedstawiali. Mogłoby rzeczywistość istnieć coś, co by miało to dwie przeciwstawne wady, ale w takim razie to coś musiałoby być naprawdę bardzo dziwną rzeczą. Człowiek mógłby być w jednym miejscu za tłusty, a w drugim za chudy, ale wtedy miałby dziwny kształt. W tym momencie myśli moje zajęły były wyłącznie dziwnym kształtem religii chrześcijańskiej. Nie twierdziłem jeszcze wtedy, że umysł racjonalisty ma dziwny kształt.

A oto inny przykład tego samego rodzaju. Czulem, że we wszystkich moich moim „chrześcijańskich”, jest coś bojaźliwego, mniemego, niemęskiego, szczególnie w postaci chrześcijaństwa wobec epory i walki. Zawtu ten uważałem za bardzo obciążający. Wielcy

sceptycy XIX wieku, byli bardzo męscy. Bradlaugh w sposób wybuchowy, Huxley powściągliwie — o baj byli zdecydowanie mężczyźnami. W zestawieniu z tym, zarzut, że w radach dawanych przez chrześcijaństwo jest coś słabego i cierpiętniczego, wydawał się przekonujący. Ewangeliczny paradoks o drugim policzku, fakt, że księża nigdy nie walczyli, i sto podobnych rzeczy uczyniło możliwym oskarżenie, że chrześcijaństwo jest próbą uczytnienia człowieka zbyt podobnym do owcy. Czytałem te zarzuty, wierzyłem w nie, i gdybym nie czytał nic innego wierzyłbym nadal. Ale właśnie przeczytałem coś zupełnie innego. Przewróciłem następną kartkę w moim agnostycznym podręczniku i mój mózg przewrócił się z nią razem. Tym razem przeczytałem, że powinienem nienawidzić chrześcijaństwo nie za to, że za mało walczyło, ale za to, że za wiele walczyło. Chrześcijaństwo jak się zdaje, było matką wojen. Chrześcijaństwo zatopilo świat we krwi. Rozgniewałem się poważnie na chrześcijanina za to, że on się nigdy nie gniewał. I nagle kazano mi się na niego gniewać za to, że jego gniew był największą i najstraszniejszą rzeczą w dziejach ludzkości, że gniew jego przesycał ziemię i wbił się dymem do słońca. Ci sami ludzie, którzy zarzucałi chrześcijaństwu potulną uległość klasztorów, zarzucałi mu również gwałtowność i wojowniczość Kruccjów. Biedne chrześcijaństwo! Zawino ono w ten czy inny sposób, zarówno w tym, że Edward Wyżnawca się nie bił, jak i w tym, że Ryszard Lwie Serce się bił. Mówiono nam, że kwakrzy są jedynymi charakterystycznymi przedstawicielami chrześcijaństwa, a jednocześnie twierdzono, że masakry Cromwella i Alvy stanowią charakterystyczny przykład zbrodni chrześcijan. Co to wszystko może znaczyć? Cóż to było za chrześcijaństwo, które zawsze zakazywało wojen i zawsze je wywoływało? Jaka może być natura rzeczy, którą raz piętnuje się za to, że wciąż walczy, a drugi raz za to, że nie walczy? W świecie jakich zagadek urodził się ten potworny mord i ta potworna potulość? Kształt chrześcijaństwa stawiał się z każdą chwilą bardziej dziwny.

Biorę trzeci wypadek, najdziwniejszy ze wszystkich, bo zawiera on jedyny rzeczowy zarzut przeciw

wierze. Tym jedynym prawdziwym zarzutem przeciw chrześcijańskiej religii jest po prostu to, że jest ona jedyną religią. Świat jest wielkim miejscem, pełnym różnego rodzaju ludzi. Można z całym rozsądkiem twierdzić, że chrześcijaństwo jest problemem leżącym w kręgu zainteresowań jednego rodzaju ludzi. Początek swój wzięło w Palestynie, a praktycznie biorąc zatrzymało się w granicach Europy. W młodości argument ten uczynił na mnie odpowiednio wrażenie. Pociągala mnie bardzo nauka, głosząca często w eitycznych stowarzyszeniach. Mam na myśli doktrynę, która poucza, że istnieje jeden wielki nieświadomy swego istnienia Kościół całej ludzkości, oparty na podstawie wszechobecnego ludzkiego sumienia. Mówiono mi, że wierzenia dzielą ludzi, ale jednoczy ich przynajmniej moralność. Dusza może zbadać najbardziej obec i odległe lądy i wieki, ale wszędzie znajdzie jednak w swej istocie poczucie etyki. Pod drzewami Wschodu znajduje ona Konfucjusza piszącego: „nie-będziesz krał”. Odcyfruje najzawilsze hieroglify na najprzewodniejszej pustyni i dowie się, że „mall chłopców powinni mówić prawdę”. Uwierzyłem w tę naukę, głoszącą braterstwo wszystkich ludzi w posiadaniu zmysłu moralnego. Dotąd w nią wierzę wraz z wielu innymi rzecami. Chrześcijaństwo jednak gruntownie zniechęcało mnie tym, że (jak mi się zdawało) twierdziło, iż całe wieki i królestwa były najzupełniej pozbawione światła sprawiedliwości i rozumu. Ale wtedy odkryłem rzecz zadziwiającą. Oto ci sami ludzie, którzy głosili, że rodzaj ludzki jest jedynym wielkim kościołem, od Platona do Emersona, użymywałai zarzucam, że moralność zmieniła się zupełnie i że to, co było słuszne w jednym wieku, było błędne w innym. Jeśli, powiedzmy, pytałem o ołtarz, odpowiadano mi że nie jest nam potrzebny, gdyż ludzie, bracia nasi, dali nam jasne wyroczenie i jedno wierzenie w swych powszechnych zwyczajach i ideałach. Gdy jednak łagodnie zwracałem uwagę, że jednym z powszechnych obycaźwów ludzkich był ołtarz, wówczas moi agnostycyści nauczyciele robili zwiot na miejscu i odpowiadali mi, że ludzie zawsze żyli w ciemnościach i przesądach dzikusów. Spo-

(Dokończenie na str. 5)

Apokryf niezawiniony



rys. Gabriela Rechowicz

„Ulica Sarg. Ulica w deszcz. Rozpaczliwa, panowie, ulica”.

(K. I. Galczyński)

A jeśli już Ulica Sarg —
To pochowajcie mnie na tej ulicy.
Ona jest moją ulicą
I tych wszystkich,
Którzy tam ze mną mieszkali.
Ona — właśnie w skos i w wiatr
Mierzyla moją młodość
I wiek dojrzały.
W nią wierzyłam mocniej
Niż w rewolucję.
A jeśli niebo w płomieniach —
To tylko nad jej dachami.

Ona ma swoje Sklepy Cynamonowe,
Swoją Kształt Miłości,
Przez jej łufeki
Inaczej się rzeczywistość
Ogląda się rzeczywistość.
Na niej doróżkarz w wytartym kubraku
I koń, który pyskiem
Łowi kamienie,
Na niej dzieci,

Których nie spotkacie już gdzie indziej,
Kozikiem krają ziemię.

Ulica Sarg — katastrofalna...
Przy niej mieszkal ludzie
Chorzy na mądrość.
W kościanej wieży
Samotni
Składali słowa do słów...
Ale z ulicy Sarg nie ma powrotu.
Ona nie odchodzi nigdzie,
A jej wymiar
Nie pasuje do biurki redakcyjnych.

Ona — w dzień zwykłą,
Prawie robotnicza,
O, palą się suche latarnie,
I po mlecznej drodze księżycy
Koty brodzą...
Pochyleni nad maszyną drukarze
Sen palcami wystukują z klawiszy.
A człowiek chory na mądrość
Zuje chleba ogarek
I od okna żąda
Nieskończoności.
A tu nic.
A tu tylko Sarg. Ulica.

Pochowajcie mnie
Na tej ulicy,
Pod kopytami, pod brukiem.
Pod przekleństwami,
Bo to była moja ulica,
Ulica mojej matki,
I tych wszystkich, którzy
Mieszkali razem z nami.

Po nocach budzę się ciągle
I patrzę prosto w księżyc.
Odnajduję ją każdej chwili,
Zawsze do niej powracam.
Złoty mur do mnie szczyry,
Wie o tym, że —
Od Ulicy Sarg
Nie ma odwołania,
Ulica Sarg nie leży na końcu świata,
Jest we mnie, do końca taka sama,
Te same Sklepy Cynamonowe,
Ten sam hołduje Kształt Miłości.
Tam mnie zanieście spowrotem...

A ten chory na mądrość człowiek
To nie jest metafora.
Był taki.
W wieży kościanej
Składał do słów słowa
I żądał od okna
Nieskończoności.
A tu nic.
A tu ulica,
Jak wam pokazać,
Jaka ulica...?

BARBARA EYSYMONTT

ZŁYSZEN STONOGI

GRACJAN KOZŁOWSKI

Mówią: „to mnie nie dotyczy” i zdaje im się, że pozbyli się kłopotu.
Goethe

PAN szanowny przepisow- wy zegareczek posiada... Piękna szulca, szwajcarska! Tak na oko, że dwa albo i więcej kawałków... Można obejrzeć?... Fuu, fuu... tylko paseczek słabutki... Ja, wiesz pan, znam się na tych rzeczach, paseczek musi być mocniejszy, bo to z tym różnie bywa... Zgubić można, albo i co innego... Proszę bardzo, już panu oddaję... Co to ja chciałem powiedzieć? Jeżeli już pan redaktor pozwoli, to ja bym jeszcze kiciśzeczek tej wiosnoweczki... Ja wiem, pan ceniłby już o tym naszym znajomym... Co wiem, to po kolei rozpowiem. Jak na sadzie...

Nas tam było razem czterech, pan Jurek w charakterze piątego doszłusował. U nas był zwyczaj przewisła różna dawać, żeby, znaczy się, na codzień tamli nie szargać. Najstarszy był „Doktor”, całe miał wyrok z komońciami z babkami... Wiesz pan, aniecki fabrykował, a patenta nie miał, nieprzepisowo... Drugi był ten, jak mu tam, aha, „Cupaga”, taki gorzał, co zarządzone i wczasowca, bo ich, jak to mówią, inkognito przyjął. Potem szedł „Profesor”, fajny chłop, tylko w czasie sukopów tam coś tego, piernacę obrabiał... No, jeszcze władcy był z nami „Gwóźdź”, niejaki, z tym była krewa. To z tego strachu, że nie wiedział, kiedy po niego przyjdą, stał na kiblu, zanieczyszczał nam życie. Ale trudno mu było coś powiedzieć... Każdy jeden chce żyć... no nie? No, czwarto to byłem ja... Mnie nazywali „Stonoga”, bo im kiedyś opowiadałem, jak to za tej sanacji kelnorem byłem i szef nam ciągle gadał, że doby kelnor musi mieć sto rąk i sto nóg, a ja mu na to, żeby sobie stonogi w interesie zatrudniał, a nie ludzi... W tym kelnorstwie to długo nie pobylem, bo wyszło raz tak, że jednemu gościowi wyłaziła stowa z kieszeni, to ją podgaręmał, a tu taki facet z drugiego stolika zrobił raban, że kelnor ukradł pijanemu gościowi pieniądze! Niby, że ja! Zawołali głina, protokół, tego owego. Dali mnie dwa misiące pułta... To mnie tak cholernie złościło, że pan nie masz pojęcia. Zresztą młodzieki był... Myślę sobie, za tego durnego pijaka, co i tak by forsę przepuścił, siedzę w marmrze? Dobra jest. Jak wyjść, to wam pokażę, jak trzeba frajerom forsę podwianać. I rzeczywiście, uważa pan szanowny, jeszcze w marmrze przesiadłem nieliczną szkołę, bo tam siedzieli facetci obiatani w facu... Tak, żeby przepisowo nie skłamać, w pół roku już regularnie do cehu należałem... Robiło się różnie. W lokalach, w tramwajach, a najlepiej w toku... Jeszcze mnie przychwyli w trzydziestym siódmym... Wtedy znowo wlepił. Osemkę... Teraz, w demokracji, całkiem inne życie... Po dwa, po trzy najwyżej naszemu bratu dają. Aby tylko nie na mokro, bez uszkodzenia i bez gnała. Jak z bronią — to dziesiątki i więcej można złapać. Ale ja tam, panie szanowny, chuliganem nigdy nie byłem, na spokojnych ludzi ręki nie podnoszę, a już co do broni, to mowy nie ma... Po cholere mi to... Spryt jest potrzebny, ci co... Rzecz prosta, że jak przysiężki, to raz, dwa i zwiatem, przy tym caym baganem. W czasie okupacji było 5/10... Ale wytrzymał się dabo. Na wsi przeważnie się człowiek obracał i tyra, jak to mówią, kulakom pierścionki opychał... Przepisowo, z takich, wiesz pan, rurek od niemiec- kich samolotów... A po wojnie... E, ja tu panu różne gupstwa zasuwam, a pan czeka na słowo o „Poeicie”. Bo ja, zdaje się, tego nie mówię, że Jurka to u nas wszyscy „Poeicie” nazywali. Wiersze takie ładne o miłości mówił swoje własne... Ot, inteligentny gość, spokojny, wesoly, nurogo nie zaciękał, w ogóle facet na medal... No, rzecz prosta, coś tam musiał tego... Pytać nie wypadało. Dopiero niedługo przed wyjściem sam powiedział. A trzeba panu wiedzieć, że go wszyscy u nas lubili, choć niejednemu przypiął łatkę, a już największemu nabiął się z „Doktora”... „Zycie” — powiada — piękna rzecz, a pan je w zarodku unii... unii... Coś takiego w tym rodzaju... Na „Cupagę” wołał Otylio, czy jakoś tak, że góral- ską operę o zardrośniku napisze... Tylko z „Gwóździem” rozmawiał poważnie, coś mu ciągle klarował, a czasem mu jakieś kawałki opowiadał, że nawet siedząc na kiblu „Gwóźdź” się śmiał... Do mnie to zawsze mówił tak: „No cóż — powiada — Stonoga, jak stać wyjdzie- mi trzeba będzie zająć się jakąś porządną robotą”. Ja mu na to, że każdy musi robić w tym fachu, ja- kiego się wyuczył. To wtedy on: „A jak jest twój prawdziwy fach?” „Zaraz pan zobaczy” — mówię mu. „Akurat wchodzi Klawisz. Ja mu coś dala puca miedując. To on mówi, że nie z tego nie wychodzi. Wtedy ja przepisowo pokazuje wszystkim pacz- kę papierosów. „Ot — mówię —

taki mój fach”. Wszyscy w śmiech, a „Poeta” — nie! Zaczął mi kla- rować, że czas mi już skończyć z doliniarstwem, stary chłop jestem i tak dalej... A ja mu, że choć on nie doliniarz, a poeta, w jednej ce- li z mną urzęduje. To jak on żył? „Masz Stonoga rację. Złe żyłem i złe moje wiersze...” Ale zaczem coś jeszcze powiedział, wiatuje strażnik zły jak wielkie nieszczęście i drze mordę: „Kto ukradł moje papierosy!” Mówię, że nie ukradłem, tylko taki ekwiwalent dla koleżów zrobiłem, że niby, co ja umiem i za co siedzę. No, trzy dni karca się za- robiło... Och, ale w gardle zaschło od tej gadki... O, dziękuję ślicznie... No i tak...

MY z pańskim nieboszczykiem siedzieliśmy razem z pół roku i tak to ja i on wyszło — w marmrze akurat coś jakby renament, że całą naszą piątkę roztasował, przys- zlił nowi, a my znaczy razem. Jurek wyszedł pierwszy. Zegaliśmy się jak kumple, choć niby — jak to mówią — nie z jednej branży. Nie mogę powiedzieć, człowiek był przepisowy, że aż po prostu trudno pomyśleć... I ot, na co mu przyszło. Po mojemu, to pechowy on był, a jak człowiek pechowy, to żeby na głowie stanął, nic nie pomoże.

Jak wyszedłem z mamra, posta- nowiłem wczasu zrobić. U nas, widzi pan, taki zwyczaj, odeszli się, co tam Bozia dała, a potem jakiś czas, są! wiadomo, mają na oku... Na targówku miałem szwagra po mojej nieboszczce Anusi... Z tym szwagrem to u nas zawsze była sztana. Przyciodzą, mówię mu, jak i co... Rzecz jasna, siedź — mów — jedź i pij, zażywaj wypoczynku. Pieniądzy, powiada, trochę jest, a jak złapiesz dech, pojedź do fa- chu.

— Szwagier — choć cholewkarz, ale żeby tak na rządowej posiadzie — to nie lubiał być. Miał na baze- rze swoją budkę, handlował. W do- mu u niego to zawsze od cholery krąciło się różnych facetów, szcze- gólnie wieczorem, handelek się kre- cił na sto dwa. Szwagrowa nie mogła od kuchni odejść, ciągle coś tam pitrasila, bo to gości zawsze pełno... Trzecia osoba w tym mies- zkaniu to była ich córeczka, Terka. Klasa dziewczyna, elegancja, z szykiem, i z fasonem. Szwagier to głównie dla niej tę forsę robił, bo gdzie jej do fabryki czy do zawo- du.

Pan szanowny myśli sobie, po- kiego czorta on mnie to wszystko zasuwają. Ja rozumiem, ale powo- lutku, dojdziemy do całego interesu... Tylko, jeśli można, zapalę so- bie...

No, siedzę ja tak już drugi mie- siąc u szwagra; jak to mówią, jak u Pana Boga za książką obrą, si nabieram i zdrowia, i myśli, że trzeba będzie niedługo na zakład przyskać do roboty... Aż tu, uważasz pan, któregoś wieczoru zjawia się paniki Jurek... Patrzę, stoi, ale nie jak człowiek, co z mamra wyszedł, tylko jakby na ścięcie miał iść. „Co jest — py- tam — czegoś, bracie, taki przegra- ny?” No, to on wtedy mówi, że nie może znaleźć ani pracy, ani miesz- kania, że nie wie, co z sobą zrobić. Przynosiłem od stołu z pół lterka, trochę żarcia. Wypiliśmy, chło- paczyna podjadł sobie. „Ze Stono- gą, kolego, nie zginię, choć ty nie z tej branży, ale jak się razem pod całą siedziało, to trzeba trzymać sztamę”. Tak mu rzekłem, bo mi go żal się zrobiło. Jak sobie trze- pniał że trzy głębsze, to go widąc całkiem wzięło, bo mi zaczął opo- wiadac, co mu się po wyjściu z mamra przytrafiło. „Widzisz, Stono- ga, ty masz — powiada — inny charakter, a ja inny... Za dużo my- śle, ot co. Za dużo spodziewałem się. Wolność, wolność — powiada — a może pod całą było i lepiej. Przy- najmniej człowiek na coś czekał. A teraz, cholera, same przykrości”. „Wiadomo — mówię — pułdo ma swoje dobre strony, wszystko się odbywa przepisowo, na kogucie siedzą facetci i kapują, żeby nikogo z mamra nie porwali, swoją pajkę smutnaka zawsze się dostanie, w obrazki można pogrąć, a jeśli się nikogo nie zaciękało, to i sumier- nie nie dęczy...” Wtedy on znowu: „Pomyśl, Stonoga, w trzech miej- scach miałem pracę na mur, co ja się narażam na personalniaków, każdy obiecał, tylko żeby zyciorzyski i podanie zostawił i zgłosił się. Zo- stawiałem i zgłaszałem się... Jeden mówi, że właśnie okazało się, że za- brakło etatu, inny zaczął marudzić, że hiefachowa siła jestem, że nie dam rady... Trzeci to był naj- uczciwszy: „Widzi pan, do biura nie mogę pana przyjąć, u nas są różne sprawy poważne, raz pan zbladził, może coś znowu wyko- czyć. Ja — powiada — nie mogę ryzykować. Niech pan na fizyczne- go stara się na początek”. Tak, uważasz pan, kowalowi chłopaka, a żyć z czegoś trzeba. No, to pojed- chał w gości do jakichś krewniaków. Owszem, przepisowo, trzy dni fun- dowali mu, a jakże, a potem wja- szak zaczyna, że ciasno u nich, że czas zahaczyć się o coś, że może do pośredniaka by skończył... No i sko- czył... W pośredniaku dali mu robo- tę Magistracką... Przy wymianie

szyn tramwajowych. No i patrz pan, porobił dwa tygodnie w bry- gadzie jednego majstra, który, oka- zało się, był nielechy drań. Zamiast pomóc, nauczyć, zaczął mu od- dzelnych inteligentów. A kiedy raz niósł z ludźmi szynę, potknął się i szyna zwała się komuś na nogę, to chłopaki wsunęli mu parę ko- pów, a majster wyrzucił. I szabas z robotą... Teraz znowu chodził za pracą, był zdaje się parę razy u pana szanownego, chciał szukać wi- adok jakiejś rady. Tylko że pana wtedy nie było...

Powiedziałem mu, że póki co, może u szwagra spać, iść chce... Na naszą gadkę wszedł jak raz Terka.



Poznajomili się. Terka ludzi była zawsze ciekawa. Pogadali z sobą i kapują, że co i raz na niego zera puszcza. Podobał się, widac. Cnot zabiedzony, ale szlachetność swoją posiadał. Terka do niego mówi: „Panie Jurku, pomóżmy panu przeciekać najdłuższy czas. Potem coś się na pewno zrobi. Na razie jest pan naszym gościem”. I uśmie- cha się do niego, a ten też, ale za- jęty swymi myślami. Nie widzi, że wpadł dziewczynie w oko. Parę dni potem szwagroszczak mówi do mnie, a może by tak Jurka w inte- resie zatrudnić? Niby jak? — py- tam. A no zwyczajnie. W brdzie po- siadzieć, towar przywieźć na bazar, jak to w interesie. Dobra, mówię, zobaczymy. I uważasz pan, rzeczy- wiście. Jurek zaczął pomagać szwa-

growsi. To do hurtowni zasuwał na rykasy, to do sklepiku urządował. Akuratni, dokładni, grzeczni, aż szwagrowi serce się radowało, no i miał więcej czasu na te swoje różne sprawy. A szwagroszczak chłód obrotowy. Tu sprzedał, tam kupił, przepisowo...

Kiedyś Terka szturcha mnie w bok i pyta, za co Jurek ze mną pod całą tego... Mówię jej, jak i co — antypaństwowy, znaczy się, ale zdaje się, że mu przeszło. Ma dość wszystkiego. Żyć chce — powia- dam — spokojnie. A tu mu z tym życiem nie bardzo wychodzi. Chło- pak kształcony, inteligent... Widzę — śmieje się do mnie Terka — że

ścisłe — mówi Jurek — nic się nie stało i pewnie nic się nie stanie... No, Jurek, trzeba powiedzieć, czę- stado tak jakiś niejasno mówił — wiadomo, poeta. Ale jasne było, że w tym liście nie dobrego być nie mogło. Tylko że to już nie moja była rzecz, a tym więcej i nie Terki.

Toteż mówię Terce co i jak, że chłopina ma kobietę i żeby jej w drogę nie wchodziła, bo to niedo- brze. Na to Terka szczyrzy te swoje białe zębiska i mruga do mnie: „Wujcio, — nic się nie bój, a bo to ja nie jestem godna kochania!” Mówię, że faktycznie jest z niej dziewczucha, jak się patrzy, ale po co? „No, no, zobaczymy” — mówi Terka i laskocze mnie pod brodą, co faktycznie bardzo lubiłem. Ka- dy swój rozum posiada, co się bę- dę martwił. A że potem wyszły z tego wszystkiego paskudne rze- czy, to już nie moja wina. I uwa- ża pan redaktor, ja do dziś nie wiem, czyja wina w tym wszyst- kim...

KTOREGO dnia szwagier przy- chodził jakiś więcej nerwowy i łapie mnie za rękaw. „Będę miał — powiada — wieczorem lepszych gości, pomóż mi. I trzeba, żeby Jurek był i Terka. Mojej starej za- powiedziałem już, żeby mi wstępu do nie zrobiła”. Szwagier faktycznie miał tych różnych znajomości od cholery i trochę. Wiadomo, chłop z głową nie od kapelusza. Tego dnia wcześniej interes zamknęli. Terka jak bogini wyglądała. Jurkowi aku- rat szwagier podfasował nowe ubra- nie w charakterze a konta za pracę. Łamał się trochę, ale założył, bo jak goście to goście, a szwagier koniecznie chciał, żeby Jurek też był. No, pod wieczór, kiedy już wszystko było przepisowo przgotowa- ne, przyszło faktycznie dwóch facetów. Lepszy goście byli — to od razu można było widzieć. Jeden to tylko za Terką oczami wodził, drugi ze szwagroszczakiem coś obga- dywali. A Terka na ament wpatrzo- wa w Jurka co i raz mu coś podsuwa. Jurek w nowym garnitu- rze jeszcze lepiej od tych facetów wyglądał... Ja siedziałem z boczką, bo co się będę pchał ze swoją mo- wą do przyzwoitych ludzi. Stałkieli pół litra ekspozycji, potem siłowo- wicy. Ja tylko wrąbywałem swoją dółkę, a czasem coś gospodini po- mogłem, żeby Terka nie wstawiała od stołu. Kiedy już dobrze pojedli i popili, szwagroszczak wziął jed- nego z facetów pod rękę i wyszli do drugiego pokoju. Terka też wstała i mrugnęła na mnie. No, ja już wie- działem, że czas na mnie. Drugi fa- cetał chciał pogadać z Jurkiem. Cho- lera mnie brala z ciekawości, cze- go on mógł od Jurka chcieć. A ja, wiesz pan... oj, chwileczkę, zascho- mi zupełnie... O, dziękuję ślicznie. Pan szanowny nie pali? To ja, je- śli można. No, dobra... Więc ja, uwa- ża pan redaktor, mam takie przy- zwyczajenie, że lubię wiedzieć, o czym ludzie gadają. Jak wyszedłem z pokoju z Terką, to poczekałem, aż ona przajdzie do kuchni, i po- lażłem od takiej mełej bokóweczki przy stolowym, gdzie wszystko było słychnac. No, bo pomyśl pan sam, co taki facet mógł chcieć od Jurka.

KLUCZA od przepaści nie można po prostu oglądać. Trzeba uważnie słuchać, uważnie myśleć — napisał Stefan Wroński w programie. W tym ujęciu właśnie cełochi widzą przychodzi- zny i do teatru. Ale słuchając i myśląc widzą także również przeży- wać, uwierzyć — podać się i dać się ponieść sugestywnej sile sceny nie tylko ze względu na rozumową ocenę problematyki. Przychodzi więc widź do Teatru Kameralnego w Warszawie nie po to, by obej- rzeć sztukę Krzysztofa Gruszczyń- skiego i przekonać się o rozwoju jego recesji jego dramaturgicznego talentu — to zadanie dla teatru eksperymentalnego! — ale by prze- żyć dramat „pierwszego atomowe- go lotnika”. Widz wybrał sobie sztukę, widz docenia jej problemat- ykę, widz zna pokrótce fakty — chce więc zębnie z artystyczną syntezą mądrzejszą i głębszą od je- go własnych, fragmentarycznych przemyśleń. Potężny bagaż dobrej woli widowni i jej zyciowości dla tego, co dzieje się na scenie — są z góry zagwarantowane ze wzglę- du na sam temat. Tym silniejsze jest jednak uczucie zawodu, z któ- rym widzowie opuszczają salę wy- chodząc na papierosa już po pierw- szej akcji. Dobra wola i najlepsze nawet chęci nie są w stanie prze- móc uczucia sprzeciwu wobec tego, co dzieje się na scenie. Każ- dą cząstką swej duszy człowiek buntuje się przeciw oczywistej nie- prawdzie, psychologiczemu pry- mitywizmowi, gromkim deklaracjom i tyradom, naciąganej akcji.

Za kanwę sztuki posłużyły auto- rowi realia powszechnie znanych, dzięki prasie, faktów o losach za- łogi superfortecy amerykańskiej, która zrzuciła pierwszą bombę a- tomową na Hiroszimę. Nie oszczęd- zono jednak widzowi nawet tego, by w opisowej formie dowiedział

się ze sceny wszystkiego, co mógł przeoczyć w gazecie. W tym sen- sie sztuka jest realistyczna.

Akcja „Klucza od przepaści” przebiega w roku 1954 w rozmów- niu jednego z kwaterów w stanie New Mexico. Zawadiomona li- stownie najbliższa rodzina Enrique — „atomowego pilota”, przybywa w przeddzień złożenia przez niego oświadczeń ślubów zakonnych, by wywrwać z klasztoru i odzyskać z powrotem dla siebie: papa-fabry- kant ręcznie malowanych krawa- tów, mama — żona fabrykanta, si- strzyzka — matka złosiłwie en- fantu terrible, narzeczona w rozterce — melancholijna Lucy. Z rozmowy, jaką ci zaci Amerykanie zabawia- ją się w oczekiwaniu na Enrique, wynika, że nie domyślają się na- wet, co skłoniło ich poczućwo chłopca do tajemniczego opuszcze- nia przed rokiem domu rodzinnego i wstąpienia do zakonu oraz że ca- ła rodzina — poza melancholijną Lucy, która przezornie milczy — nie charakteryzuje się nadmiarem wy- obraźni, sił intelektualnych i uczuć moralnych. Pomysłowość Zagłoby w jego zabiegach nad wyrwaniem z klasztoru „Pana Michala Wolo- dyjowskiego” wydaje się ośniewa- jąca w porównaniu z wdziakiem, z jakim opisana czwórka przgotow- uję się na scenie do dzieła, wed- ług psychologicznej recepty swe- go twórcy. Dla wypełnienia jakoś dłuższego się widowni i aktorom czasu papa i córka, a czasem i ma- ma — uprawniają na scenie dialog, prowokacyjnie głośny i zakończony siarczystym policzkiem wymierz- onym perwersyjnie złosiłwie córce. Lucy — przywieziona jako przynie- ta — ze stoickim spokojem znosi zarówno chamstwo niedoświado- te, jak i impertynencje swej nie- doświadczonej szwagierki — Inez.

Na scenie ukazuje się — przery- wając psychologiczną dyskusję —

K l u c z ...

główny bohater, „pierwszy pilot atomowy” — Enrique. By przekonac jakoś widza o swym rocznym po- bycie w klasztorze i auczynowym przygotowaniu do złożenia ostat- nich ślubów, zaczyna kwestię z osi- nłą powściągliwością, ubarwioną tylko nieco przez cytaty z Biblii. Poor boy! Nieby przekonac swych zanych, choć nieco tępawych rod- ziców i widownię o motywach swego czynu i jego nieodwołalno- ci przyjąć misz, biedny En- rique, całe bogactwo ludzkiej mo- wy. By ułatwić ci zadanie tej pu- blicznej psychoanalizy, autor po- zostawił ci na scenie niedomyślną i do cna niemiarłą rozdźwięk i cierpliwych widzów na widowni, którzy chcieliby cię zrozumieć i uwierzyć ci. Nie udało ci się to je- dnaż: nikt ci nie wierzy, choć roz- umieją, co mówisz, i choć autor bardzo starał się o to, byś mógł mówić jak najwięcej i jak najdłu- żej. Długie lata czekałeś, męczyłeś się, dojrzewałeś, by wypalić praw- dę w oczy twej rodzinie, zmaga- łaś się sam z sobą, by wreszcie znaleźć odpowiednią chwilę i od- powiednie audytoryum. Gdy wresz- cie spada na nią ośnienie i wiedz- ją, co było przyczyną twej decy- zji, gdy chcesz się z nimi pożegnać na zawsze odchodząc w krainę mo- dlitownego zamknięcia sam na sam z Bogiem, akt twej pokornej ofiary demonstruje się uścielką, histerycz- ną rozprawą z przeszłością twego ojca.

Jaż jestes logiczny i wspania- ny, jaki pełnokrwisty, gdy obowia- dasz z jakąś zjadłą determinacją jego przycię z „małym meksykań- skim czupradłem”, którą przed dwudziestu laty jako matemu

Chłopak biedny jak wiewiórka ko- ścielna, jakich tam z nim interes.

No i ot, mógł być interes, tylko że z pańskim przeproszeniem, gów- no z tego wyszło... Patrzaj ja przez szczelinę — facet przysiadł się do Jurka, wódeczkę mu dolawa i mó- wi, że ma brata w więzieniu, że znaczy się, czy Jurek o nim nie sły- szal. Tak a tak, nazywa się Ostrow- ski czy Ogrodowski, już nie pamie- tam, brunet, wysoki itd. Jurek mó- wi, że nie przypomnia. Potem facet zaczął tak w ogóle pytać, jak to jest z tym więzieniem, czy dużo narodu, jak się obchodzą. Zwyczaj- nie — był widać ciekaw, jak temu bratu się powodzi. Jurek coś tam półsłowami odpowiadał, ale bez chęci. Potem facet coś ciszej zaczął klarować. I wtedy Jurek głośno krzyknął: „Czy mnie komuniści da- li się we znaki? No, a co pan my- śli, głaskać mnie niemi nie wiado- mo za co!” To tamten mówi, żeby ciszej, bo ściany mają oczy. Pomy- ślałem, że to o mnie. I znowu coś mu szepca. Posłyszalem, że o pra- cy jakiejś, że nie ma sensu Jurko- wi inarnować się w budce na baza- rze, kiedy on, znaczy ten facet, mógłby mu wyrobić odpowiedzial- ne zajęcia, i coś tam jeszcze, tak jakoś mądrze, że nie powtórzyc... Skombinowałem, że chce Jurka gdzieś zatrudnić, ale Jurek coraz głośnieji: „Dajcie mnie spokój, daj- cie i mnie spokój!” Z nerwów, zna- czy się, zaczął wychodzić. To wś- dy facet powiedział coś takiego, że mnie samego szlag mało nie trafił: „Czy pan — powiada niby do Jur- ka — czy pan wie, gdzie pan się znajduje i komu pan służy? Czy pan wie, czym zajmuje się pański gospodarz? Ze wystarczy słowko — mówię — gdzie trzeba, i pan znowu siedzi... Czy nie lepiej spokojnie...” Oho, myślę sobie, krewa. Patrzę ja przez szparę na Jurka. Siedzi, ani się ruszy i jeszcze mówi: „Pan ma rację, lepiej spokojnie”. Ale mnie już zaczęło trząść, ja już wiedzia- łem, w czym rzecz. Ze też ten szwagroszczak takiego numeru sprowadził do domu, co to bałaganu i jemu, i innym może narobić. Trzeba — myślę — wyłazić z tego koguła... Więc wygramoliłem się i posuwałem szukać szwagroszczaka. Akurat w przedpokoju zęgał się z tym drugim facetem. I Terka tu była. Mrugam na szwagra, ten nic. Pomaga ubierać się gościowi, a jak- że, rączki sobie ścisłajacy. Ale wresz- cie gość wyszedł. Biorę szwagra na bok i gadam mu, że coś tam nie- wyraźnie w stolowym, że wygląda na to, że pokłócił się czy jak. Ter- ka, która właśnie wychodziła, pod- biegła do nas. Wtedy szwagroszczak do niej: „Widzisz, po cholere żeś to zrobiła, po co mnie ten raban. Czort wie, kto to jest!” „Cicho, oj- cie — mówi Terka — ja go znam. Tylko nie rozumiem, o co im po- szło. No, chodźmy”. I we trójkę po- szliśmy do pokoju. Jurek siedział podparty przy stole, a ten obcy cho- dził po pokoju z założonymi ręka- mi. Jak zobaczył Terkę, zaraz do niej: „O, to dobrze, że pani przy- szła, panno Tereso Muszuję już iść. A poza tym — powiada — ten pa- nnie obraził... Zresztą to nieważne, gorzej jest, ale to mogę powiedzieć tylko panu” — tu kiwnął na szwa-

grę. „Wiesz pan, rurek od niemiec- kich samolotów... A po wojnie... E, ja tu panu różne gupstwa zasuwam, a pan czeka na słowo o „Poeicie”. Bo ja, zdaje się, tego nie mówię, że Jurka to u nas wszyscy „Poeicie” nazywali. Wiersze takie ładne o miłości mówił swoje własne... Ot, inteligentny gość, spokojny, wesoly, nurogo nie zaciękał, w ogóle facet na medal... No, rzecz prosta, coś tam musiał tego... Pytać nie wypadało. Dopiero niedługo przed wyjściem sam powiedział. A trzeba panu wiedzieć, że go wszyscy u nas lubili, choć niejednemu przypiął łatkę, a już największemu nabiął się z „Doktora”... „Zycie” — powiada — piękna rzecz, a pan je w zarodku unii... unii... Coś takiego w tym rodzaju... Na „Cupagę” wołał Otylio, czy jakoś tak, że góral- ską operę o zardrośniku napisze... Tylko z „Gwóździem” rozmawiał poważnie, coś mu ciągle klarował, a czasem mu jakieś kawałki opowiadał, że nawet siedząc na kiblu „Gwóźdź” się śmiał... Do mnie to zawsze mówił tak: „No cóż — powiada — Stonoga, jak stać wyjdzie- mi trzeba będzie zająć się jakąś porządną robotą”. Ja mu na to, że każdy musi robić w tym fachu, ja- kiego się wyuczył. To wtedy on: „A jak jest twój prawdziwy fach?” „Zaraz pan zobaczy” — mówię mu. „Akurat wchodzi Klawisz. Ja mu coś dala puca miedując. To on mówi, że nie z tego nie wychodzi. Wtedy ja przepisowo pokazuje wszystkim pacz- kę papierosów. „Ot — mówię —

Paradoksy chrześcijaństwa

(Dokończony ze str. 3)

strzegłem, że stale zarzucał chrześcijaństwu, iż było ono światłem jednego tylko narodu, a reszcie ludzi pozwalało ginać w ciemnościach. Ale zauważyłem również, że chętni byli do nauki i postępowania, a nie do przywrócenia jednego narodu, i że wszystkie inne narody ginęły w ciemnościach. Główna obelga rzucana chrześcijaństwu, staowała w istocie główną pochwałą ich samych. Nieuczyniwość w odmiennym podkreśleniu tych dwóch rzeczy wydała mi się dziwna. Mówiąc o jakichś poganach, czy agnostykach, musieliśmy pamiętać, że chrześcijaństwo ma jedną religię, ale rozprawy o jakichś mistykach czy spirytualistach mieliśmy rozważać tylko to, jak niedorzeczne są żądania niektórych ludzi. Mogliśmy zauważać etyce Epikteta, ponieważ etyka nigdy się nie zmieniała, ale nie wolno nam ufać etyce Bosueta, ponieważ etyka się zmieniała. Nie uległa zmianie w ciągu dwu tysięcy lat, ale zmieniła się w ciągu dwustu lat.

Zaczynało to już być zatrważające. Wyglądało nie tyle na to, że chrześcijaństwo jest tak źle, iż posiada wszelkie wady, ile raczej na to, że wszystkie kije są dobre, gdy się chce być chrześcijaństwem. A coż to za rdumiewająca rzecz, z tak wielkim zapamiętaniem zważana przez ludzi, że nie spostrzegają nawet, iż przeczą samemu sobie?

Rozważyłem tę samą rzecz ze wszystkich stron. Nie mogę poświęcić więcej miejsca na bardziej szczegółowe jej roztrząsanie. Żeby jednak nikt nie przypuścił, że nieuczyniwość wybrałem trzy przypadki, rozważyłem jeszcze raz pokrótce parę innych. I tak, niektórzy sceptycy pisali, że wielką zbrodnią chrześcijaństwa był atak na rodzinę. Wtrącając ono kobiety w samotność i kontemplację życia klasztornego, z dala od domów i dzieci. Ale wtedy inni sceptycy (opuszczając się nieco dalej) orzekli, że wielką zbrodnią chrześcijaństwa jest, iż zmusza ono nas do małżeństwa i życia rodzinnego. Skazuje kobiety na harówkę w domach i przy dzieciach, wzbraniając im samotność i kontemplację. Odwrócono po prostu zagadnienie. Inni znów przeciwnicy chrześcijaństwa twierdzili, że niektóre zdania w Epistolach lub obrzędzie zaślubin cełuje pogarda dla umysłu kobiety. Ja jednak stwierdziłem, że przeciwnicy chrześcijaństwa pogardzają sami umysłem kobiety. Jakże szczydzą ci z „tylko kobiet”? Zarzucają im chrześcijaństwu ubóstwo i żebractwo, wory pokute i suchy groch. W następnej jednak chwili wspominają mu pompę i bogaty rytuał, ołtarze z porfiru i szaty ze złota-głowia. Stawiano mu zarzut, że jest zbyt szare i zanadto kolorowe. Zawsze oskarżano chrześcijaństwo, iż zbyt hamuje instynkty płciowe, gdy nagle maltuzjanin Bradlaugh odkrył, że za mało je hamuje. Jednym tchem zarzuca chrześcijaństwu przesadną szanowność i ekstrawagancję religijną. Na różnych stronach tej samej broszury ateistycznej znalazłem wprawdzie atak na wiarę za rozbienie jedności: „jeden myśli sobie to, a inny owo”, a następnie atak za jednoczenie: „różnica poglądów chroni świat przed zejściem na psy”.

W czasie pewnej rozmowy jeden z wojnowyśkiełli, mój przyjaciel zresztą, ganił chrześcijaństwo za pogardę dla Żydów, a gardził nim sam za to, że jest żydowskie.

Chciałem być najzupełniej uczciwy wtedy i chcę być również uczciwy i teraz; nie doszedłem do wniosku, że atak na chrześcijaństwo jest całkiem niesłuszny. Pomyślałem tylko sobie, że jeśli chrześcijaństwo jest błędem, to błędem naprawdę bardzo wielkim. Tak wrogi sobie okropności mogą się łączyć w jednej rzeczy, ale rzecz ta musi być bardzo dziwna i jedyna. Istnieją ludzie, którzy są jednocześnie w przepaści swej własnej duszy, własnych przemysłów i uczuć, które postanowił upouścić się za pomocą sztuki o tobie. Jesteś sztucznym patetycznym tworem, zalewającym widów ze sceny potokiem słusnych uogólnień i nieprawdziwych przeżyć. Służysz jako namiętny dowód tego, jak bardzo nie znalazł cię Gruszczyński szukając samego siebie. Niewiele lepiej wygląda sprawa twych partnerów, których jedynym zadaniem jest ułatwić ci wypowiedzianie słusnych uogólnień. Najlepszą miarą sugestyjności, jaką potrafisz nadać swojej tragedii, jest reakcja na nią twych najbliższych. Im zresztą też nie uwierzysz mimo strachu, jaki odczuwają przed FBI, i mimo matrymonialnych zamiarów twej siostry.

Skoda, że zamiast rozważań nad statystyką nie wyszedłeś z klasztoru choć na dwie godziny, by obejrzeć film „Dzieci Hirozimy”. Zobaczyłbyś, jak wymowna i wstrząsająca może być oszczędność słów.

Widz wychodzi z teatru zadowolony: choć krótko do niego ze sceny przez blisko dwie godziny, nie jest ani odrobinę mądrzejszy i ani odrobinę bogatszy w przeżyte prawdy. O ile bardziej wstrząsająca i wymowna była krótka notatka w gazetach. Krzysztof Gruszczyński, reżyser i aktorzy nie potrafili do niej nic dodać.

Rys. Edward Krasiński

bardzo wysoki, inni zaś, że niski, ci zarzucałi mu otyłość, owi zaś lamali ręce nad jego chudością. Jedni uważali go za ciemnego bruneta, inni za jasnego blondyna.

Te sprzeczności można wyjaśnić (jak to już wspominałem) dziwnością kształtu opisywanego człowieka. Ale istnieją jeszcze inne wyjaśnienia. Może on posiadać zupełnie normarne kształt. Tylko niezwykle wysocy ludzie będą go uważać za niskiego, a bardzo niscy za wysokiego. Stare, córastające tuiszczem kozy mogą myśleć, że nie jest on dostatecznie tęgł, gdy starszawi, chudnący dandysi mogą sądzić, że przekroczył smutne linie przepasane przez elegancję. Może też Szwedzi o jasnych jak konopie włosach, nazwali go ciemnym, gdy Murzyni uważali, że jest zacygowanym blondynem.

Krótko mówiąc, ta nadzwyczajna rzecz może być ciekawym przykładem, a przynajmniej normalną prawą leżącą postoczą. Może ostaciecznie chrześcijaństwo jest całkiem normarne, tylko jego krytycy są zwiariowani na różne sposoby. Podałem tę myśl sprawdzianowi, pyając siebie czy przypadkiem w samych oskarżycielach nie ma czegoś chorobliwego, czym można by wytłumaczyć oskarżenie. Zaskoczył mnie odkrycie, że klucz ten pasował do zamka. Np. z pewnością dziwny był fakt, że nowoczesny świat oskarża chrześcijaństwo jednocześnie o surowość wobec ciała i o artystyczny przepych. Ale było także dziwne, nawet bardzo dziwne, że ow nowoczesny świat łączy w sobie krancowy zbytek zewnętrzny z krancowym brakiem artystycznego przepychu.

Nowoczesny człowiek uważa suknie Becketa za zbyt bogate, a jego posiłki za zbyt ubogie. Ten sam nowoczesny człowiek stanowi jednak wyjątek w historii, bo nikt przed nim nie jadł tak wyszukanych obiadów w tak brzydkim ubraniu. Nowoczesny człowiek uważa Kościół za zbyt prosty właśnie tam, gdzie życie nowoczesne stało się zbyt złożone. Kościół wydał mu się nadmiernie jaskrawo tam, gdzie nowoczesne życie stało się nadmiernie szare. Człowiek, który nie uważał zwykłych postów i uczt miał bżika na punkcie przystawek. Człowiek, który nie lubił szat, zaczął nosić parę cudacznych spodni. Jest rzeczą oczywistą, że jeśli leżao w tym jakimś szaleństwie, to raczej w spódnich, niż w prosto opadającej sukni. Jeśli jest tu w ogóle jakieś szaleństwo, to tkwi ono raczej w wyszukanych zażskach a nie w chlebie i winie.

Rozważyłem wszystkie wypadki i stwierdziłem, że klucz wszędzie pasuje. Fakt, że Swinburne złościł się na nieszczęście chrześcijan, a jeszcze więcej na ich szczęście, był łatwy do wyjaśnienia. Była to komplikacja chorobowa Swinburna — nie chrześcijaństwa. Powściągliwość chrześcijan zasmucała go po prostu dlatego, że sam był większym hedonistą, niż winien nim być zdrowy człowiek. Wzrost chrześcijan złościł go dlatego, że był większym pesymistą, niż może nim być zdrowy człowiek. Z tejże przyczyny maltuzjanin instynktownie atakował chrześcijaństwo. Nie dlatego, że w chrześcijaństwie jest coś szczególnie przeciwnego maltuzjanom, ale dlatego, że w maltuzjanizmie jest coś nieco przeciwnego ludzkości.

Czułem wszelako, że pogląd, iż chrześcijaństwo jest po prostu rozsądne i trzyma się złotego środka, nie może być całkiem prawdziwy. Posiada ono w istocie pierwiastek mocy a nawet zapamiętania, który może usprawiedliwić powierzchowną krytykę antyklerykalnych przeciwników religii. Mogło być mądre, coraz częściej zaczynałem myśleć, że jest ono mądre, choć nie na światowy sposób. Było ono nie tylko umiarkowane i godne szacunku, łagodni święci mogli równowżyć żaźnych krzywdców, ale mimo tego krzywdcy byli bardzo żarliwi, a święci bardzo łagodni, potulni ponad wszelką przyzwołość. W tym właśnie punkcie rozważań przypominały mi się moje myśli o nieszczęściu i samobójstwie. Tu właśnie istniało połączenie tych dwóch, prawie szaleniecych stanów, dających jednak w sumie coś normalnego. Była to właśnie jeszcze jedna sprzeczność, którą już uznałem za prawdziwą. Był to właśnie jeden z paradoksów, który dla sceptyków stanowi dowód omylności wiary, a mnie przekonał o jej prawdziwości. Cnoc chrześcijaństwo do szalenstwa kochał męczeństwo i nienawidził samobójstwa, nigdy nie odczuwał tych namiętności bardziej szalenie odczuwał, i to na długo, zanim zacząłem śnić o chrześcijaństwie. Tu zaczęła się dla mnie najtrudniejsza i najciekawsza część procesu myślowego. Począłem śledzić tę myśl po omacku poprzez wszystkie olbrzymie założenia naszej teologii. Myśl, którą już naszkicowałem omawiając problem pesymisty i optymisty, tę miarowalność, że nie potrzebny nam jest aniłomagał czy kompromis, ale obie rzeczy na raz, i to w szczytnym nagażeniu. Potrzeba nam jednocześnie miłości i gniewu w stanie wrzenia. Nie potrzebują chyba przypominać czytelnikowi, że takie połączenie jest naprawdę głównym założeniem ortodoksyjnej teologii, która specjalnie podkreśla, że Chrystus nie był istotą odmienną od Boga i ludzi, jak elf ani też półszczęśliwy, półludzka, a półwierzęca jak centaury, ale jednocześnie i całkowicie człowiekiem i prawdziwym Bogiem.

G. K. Chesterton

gra. I wyszł z pokoju. Terka podszła do Jurka. Nie wiedziałem, co z sobą robić. Już chcę wyjść także, kiedy jak bomba wlatuje szwagier i mało mnie nie przewrócił. Cały czerwony na twarzy, chwycił Terkę za rękę i odrzuca ją przez pół pokoju. Jeszcze go takim nie widziałem. I do Jurka: „No, panie ładny, jak tak, to wont z mego mieszkania. Mam siedzieć, to będą sieczcie, jak mnie złapią za rękę, ale póki co, szpicłów w domu nie potrzebuję”. No i, panie szanowny, rozpoczęło się. Przepisowo, można powiedzieć. Ja dopiero po wszystkim skapowałem, co zaszło. Ten facet, co to się obraził, powiedział szwagrowi, że Jurek to szpicel. Rozumiesz pan taką sztukę? No i szwagier wygarnął Jurkowi, że takiej wdzięczności nie spodziewał się, że inny to by mu lebz rozwalili... Wtedy mnie cholera wzięła i mówię szwagrowi, że to nie może być, bo znam go nie od dziś... To wtedy szwagier i na mnie wskoczył: „A ty diadu parszywy, jeszcze bronzisz go, a on cię jutro zakapuje, tak?” Dobry jesteś jak i twój Jurek! I w ogóle dość tego gnicia w moim domu! I widział pan, jak to życie człowieka przerabia. Terka chciała dia Jurka jak najlepiej, kiedy sprowadziła tamtego faceta. A ja też mu źle przecie nie życzyłem, jak u szwagra kwaterę mu skombinowałem. I co się nie robi? Jurek na całą tę gadkę szwagroszczaka nie nie mówił, potem tylko wstał i powiedział cicho: „To nieprawda” — i jeszcze dodał: „Ale ja stąd pójdę... Bo już czas na mnie przyszedł”. Tak powiedział, właśnie, że czas na niego przyszedł... Ja panu powiem tylko jedno... siedzieliście, było się nie na jednym śledztwie, ot, jak w moim fachu, ale nigdy nie byłam tak przekrzany, jak w tej chwili. Coś mnie panie, za gardło dusiło, jak jaka zmora. A pomóc mogłem? Cóżno. Sam musiałem brykać na odczyszczenie ziemi, żeby wziąć się do roboty. Co ja mogłem pomóc Jurkowi? Stałem jak głupia krowa, kiedy on wychodził, a to była przecie noc... Mnie choć szwagroszczak naubił, to nie wypędziliby w nocy — to wiedziałem — i forsy musiał mi dać na drogę, bo choć nerwowy był, ale co rodzina to rodzina... Mogł się złościć, ile chciał, ale co do niego należało, zrobić musiał. A Jurek wychodząc podał mi rękę i jeszcze powiedział: „Jadę, powiada, daleko, ale jak o mnie usłyszysz, to powiedz memu koleździe, i tu, znaczy się, podał nazwisko pana redaktora...” Słyszysz, Stonoga, nie zapomnij, żeby ci nie musiał przypominać”. I ścisnął mi rękę jak diabeł, a przecie silny nie był. No i poszedł. Ja z tej żalości rąbnąłem sobie parę setek wódki ze stołu, nawet nie zagryzając. Potem zwałem się w swój kąt i cześć. A co miałem robić?

A tu musi pan wiedzieć, że nikt w domu nie obejrzał się, jak w parę minut po Jurku wyszła z mieszkania Terka. No, nie wiem, ile ja tam spałem, dość na tym, że zbudziłem się od czyjegós krzyku i płaczu. Leżę jeszcze i słucham. No, tak... Szwagier krzyczy, Terka płacze. Spać nie można. Lebz mnie jeszcze po tej wódce boli, ale wstając zobaczycie, o co oni znowu się kłócą. Jak zobaczyłem, to mnie oczy w siup stanęły. Terka na podłodze, a szwagier bije ją, po czym popadło, i tylko pyta: „Dość masz, czy nie? Zapomnisz, czy nie!” Podlatuję do niego i krzyczę: „Szwagier, co jest, za co Terkę naparasz?” Szwagroszczek tylko wrzasnął: „Odczep się, ojcowskie moje prawo tę cholera zatluc”. No, ni by faktycznie, ojcem jest — myślę sobie, prawo ma. Ale jak mu dziewczyna całkiem zwłotzczała i dech straciła, to przestał. Potem się

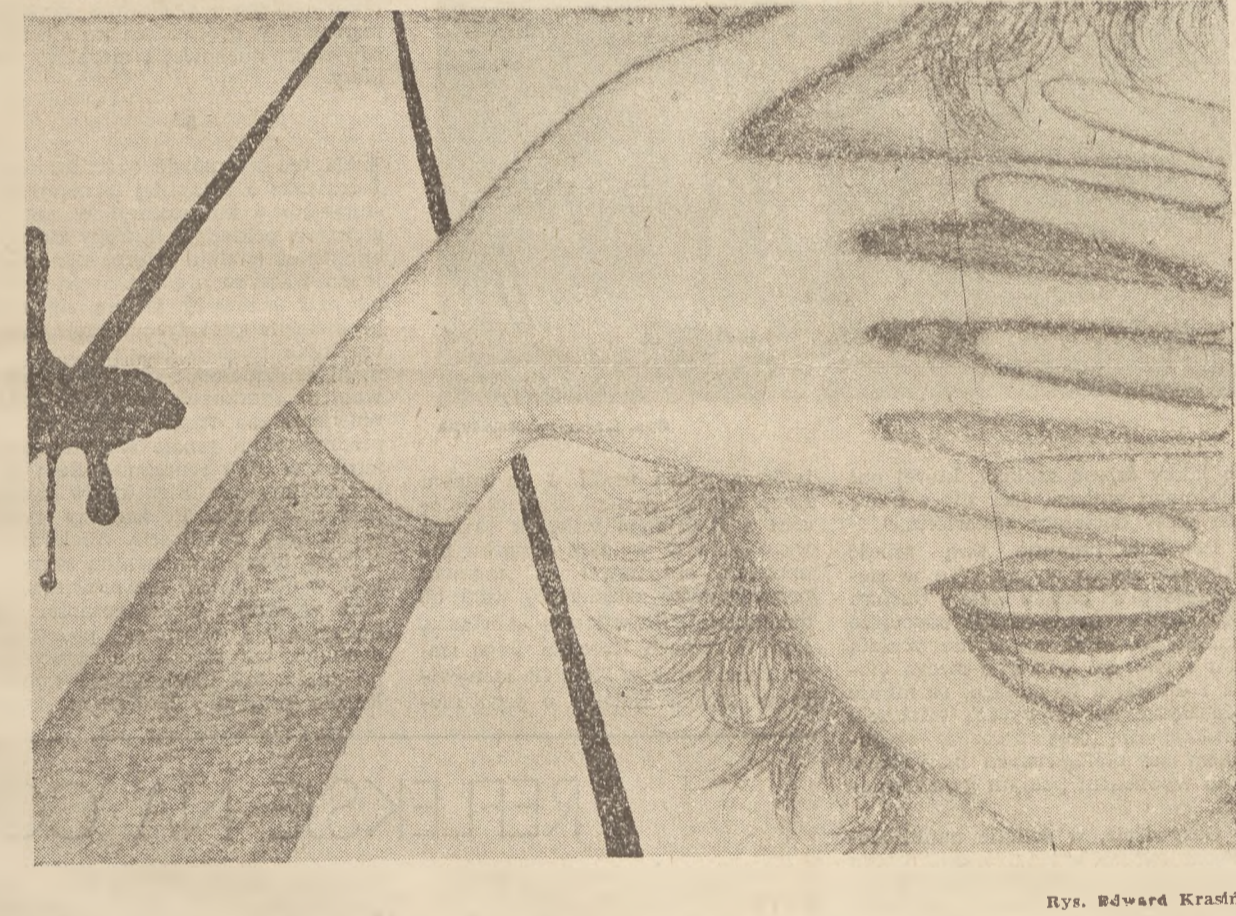
opamiętał i razem z matką, która na to wszystko też przeżywała, o-kładay jej porobili, rozebrali i położyli do łózka. Nic z tego wszystkiego nie kapowałem. Szwagier bił Terkę — swoje oczko w głowie, Terkę bił, najukochańszą córeczkę, jedynaczkę... Co się tu stało? Ale prędko dowiedziałem się co się stało i to jeszcze tej nocy od samego szwagra. Jak trochę odsapaną, kazał mnie siadać obok siebie, zapaliliśmy i powiada: „Cholerny czas na mój dum przyszedł, lepiej bys ty, braciszku, tego drania tu nie sprowadzał. Nawet i na ciebie się pogniwałem, ot, widzisz”. Ja mu na to, że jak kwia, nie miałem ojca szklarza, żeby się obrażać. I nie ma o czym mówić. Tylko co z tą Terką? „Ano, jak wyszedł ten facuura — zaczął szwagier — to Terka za nim, a z sobą wzięła całą prawie moją forszę. Uciekać z nim chciała, znaczy się. Dobry gips, co? Z takim gołcem, byle kim... No, ale to nie wszystko... On zabił się, kapujesz?” „Co takiego?” — „A tak, z mostu pod pociąg skoczył i rozwalilo go na amen. Najprzed koleował z Terką po całym mieście, co jej tam mówił, to czort go wie, a potem mieli iść na Dworzec Gdański. No, tam leciał pośpieszny i ten durak zdążył podskoczyć. No, to ta głupia najprzed chciała lecieć do niego czy za nim, czy ja już nie wiem co, ale potem przestraszyła się. Kapujesz, całe jej i nasze szczęście, że przestraszyła się i galopkiem do domu. Wpała tu nieprzytomna i krzyczy, że nieszczęście, że ona nie ma po co żyć, że czort wie, co tam jeszcze. Cała roztrzęsiona, nieprzytomna. Ja nic, tylko pytam, czy ją kto widział na tym zasranym moście, mówi, że nie. To ja do niej, że niech Bogu dziękuję, bo by nas tu wszystkich poprzytykali do wyjaśnienia. Wiesz przecie, jak to jest z tym ich wyjaśnianiem. A ona znowu do mnie z głupią mową, no i szlag mnie trafił i przywaliłem cholera coś niecoś, żeby jej się odechciało głupich amarów, żeby ojca, co dla niej wszystko robi, nie pakowała w takie sprawy. No, pomyśl, po co mnie to wszystko. Pomyśl, że lekarstwo pomogło. Spokojna jest, tylko nic nie mówi... Pewnie, tak lekko jej to nie mogło przejść...”

Akurat w jednym mieście na zachodzie szykowała się wielka wy-

stawa, to myślę sobie: trzeba tam podskoczyć. Naród z całego kraju tam zasuwa, to i biedny człowiek coś niecoś przy tym utarguje. Ale przed samym wyjazdem przysnił mi się pański Jurek — straszny był taki, jak to upiór. Było mi na drugi dzień trochę niewyrażnie, a jeszcze przypomniałem sobie, o co mnie wtedy prosił. Myślałem, może faktycznie poszukał pana, ale bilet już miałem... Pojechałem... Wyobraź pan sobie, ledwie wysiadłem na tym przekleśnym dworcu, jeszcze nie zdążyłem się rozzejrzeć, stoi przy mnie dwóch facetów w cywilnym. „Dokumenty! poprosimy” — mówi jeden, bardzo grzecznie. Pokazuję, ale diabli mnie biorą. „O co chodzi?” — pytam. — „Aha, kochany Stonoga, na gościnne występy do Wrocławia, co?” I wyobraź pan sobie, przymknęli mnie na dwa tygodnie. No cóż, myślę sobie, ma się tu sławę, ale z drugiej strony coraz ciężej u nas inicjatywie prywatnej... W tym arrescie najgorzej nie było, człowiek zresztą przyzwyczajony jestem. Tylko uważa pan redaktor, że dwa razy pokazywał mi się w nocy Jurek... Raz to krzyku nawet narobiłem takiego, że kamraci o mało mnie nie zbili... Niedobrze, myślę, Stonoga, trzeba jednak tego redaktora odsukać. Jak mnie wypuścili — to było w zeszyły tygodniu, dałi bilecik do Warszawy a jakże, tylko porucznik powiedział, że z Warszawską Komendą wszystko uzgodnione i jak mnie przylapią na czymś takim, to po odesiedzeniu wyroku pojedą pod Szczecin kartofelki sadzić. Kartofelki rzecz niezła, ale na talerzu. Niech sobie wieśniacy z nimi się bawią. Ja tego nie lubię... Szwagroszczak jak mnie zobaczył, skapował, jak mnie poszło, „Pechowy — powiada — zrobił się, Stonoga... To chyba ten umarłak tak ci miesza...”. „Myślisz?” — przestraszyłem się cholernie i czym prędzej poleciałem szukać pana redaktora... To, teraz jest mi już trochę lepiej... Nie śni mi się, ale może i dlatego, że jak woź cały dzień towar dla szwagra, to i nie mam czasu na sny w nocy... Nie mój fach, przemęczony jestem, a przecie każdy powinien robić w swoim fachu, no nie, panie redaktorze...?

NO i tak... Jak to mówią, na wsiadane go trzeba coś dobrego... O, dziękuję panu redaktorowi. Jak zapalam teraz tego cholernego „Zeglarza”, to mi akurat przypomniało, że wtedy, po rozmowie ze szwagrem, chciałem zapalić, ale zapalek już nie miałem. Wstałem, żeby w kuchni od pieca przypalić. Wszedłem ja do tej kuchni, a tu swąd palonego jak sto diabłów. Aż zamgił mi, a stara szwagroszczaka tak na mnie spojrziała, że przepisowo uciekle... Bo wiesz pan co, wydało mi się nagle, że oni tam pod tą płytą spalili Jurka całego, tak jak żył i tak jak był... Pan pomyśli, stary dureń, ale naprawdę wziął mnie taki strach, że nie wiedziałem, co z sobą zrobić. A przecie nikt tu nikogo nie zamordował! W naszej rodzinie nikt mokrej roboty nie lubił i nie robił. A że nie chcieli mieć kramu z tym wszystkim, to rzecz jasna. Kto by chciał... No, na drugi dzień mówię do szwagra, że czas na mnie. „E, co tam — powiada — posiedź jeszcze parę dni. Na baby patrzeć nie mogę. Przecie nie gniewasz się na mnie.” No to zostałem. Terka nie pokazywała się, nie miałem z nią okazji pogadać, ale szwagier mówił, że lekarstwo pomogło. Spokojna jest, tylko nic nie mówi... Pewnie, tak lekko jej to nie mogło przejść... Akurat w jednym mieście na zachodzie szykowała się wielka wy-

stawa, to myślę sobie: trzeba tam podskoczyć. Naród z całego kraju tam zasuwa, to i biedny człowiek coś niecoś przy tym utarguje. Ale przed samym wyjazdem przysnił mi się pański Jurek — straszny był taki, jak to upiór. Było mi na drugi dzień trochę niewyrażnie, a jeszcze przypomniałem sobie, o co mnie wtedy prosił. Myślałem, może faktycznie poszukał pana, ale bilet już miałem... Pojechałem... Wyobraź pan sobie, ledwie wysiadłem na tym przekleśnym dworcu, jeszcze nie zdążyłem się rozzejrzeć, stoi przy mnie dwóch facetów w cywilnym. „Dokumenty! poprosimy” — mówi jeden, bardzo grzecznie. Pokazuję, ale diabli mnie biorą. „O co chodzi?” — pytam. — „Aha, kochany Stonoga, na gościnne występy do Wrocławia, co?” I wyobraź pan sobie, przymknęli mnie na dwa tygodnie. No cóż, myślę sobie, ma się tu sławę, ale z drugiej strony coraz ciężej u nas inicjatywie prywatnej... W tym arrescie najgorzej nie było, człowiek zresztą przyzwyczajony jestem. Tylko uważa pan redaktor, że dwa razy pokazywał mi się w nocy Jurek... Raz to krzyku nawet narobiłem takiego, że kamraci o mało mnie nie zbili... Niedobrze, myślę, Stonoga, trzeba jednak tego redaktora odsukać. Jak mnie wypuścili — to było w zeszyły tygodniu, dałi bilecik do Warszawy a jakże, tylko porucznik powiedział, że z Warszawską Komendą wszystko uzgodnione i jak mnie przylapią na czymś takim, to po odesiedzeniu wyroku pojedą pod Szczecin kartofelki sadzić. Kartofelki rzecz niezła, ale na talerzu. Niech sobie wieśniacy z nimi się bawią. Ja tego nie lubię... Szwagroszczak jak mnie zobaczył, skapował, jak mnie poszło, „Pechowy — powiada — zrobił się, Stonoga... To chyba ten umarłak tak ci miesza...”. „Myślisz?” — przestraszyłem się cholernie i czym prędzej poleciałem szukać pana redaktora... To, teraz jest mi już trochę lepiej... Nie śni mi się, ale może i dlatego, że jak woź cały dzień towar dla szwagra, to i nie mam czasu na sny w nocy... Nie mój fach, przemęczony jestem, a przecie każdy powinien robić w swoim fachu, no nie, panie redaktorze...?



Rys. Edward Krasiński

w przepaści

podaje do publicznej wiadomości wstrząsający fakt, żeś jadt tego dnia śniadanie i że na śniadanie były jajka z szynką. Tyś rzeczywiście dojrzał. Widać skutki tych dziewięćlecielnich refleksji — nie udało ci się w tym czasie pogodzić z faktem, żeś zjadł tego dnia śniadanie. Potem jeszcze dr... ja sprawa, z którą nie dałeś sobie rady — ten ruch dzwignia, taki sam jak przy przekładaniu np. biegów w samochodzie. To wszystko dopiero razem daje perspektywę, pozwala ci zrozumieć, bardzo zbliża twój dramat do widza, wywołuje w nim najgłębsze współdrżania z twą wizjonerską pamięcią. A swoją drogą masz szczęście, Enrique. Pomyśl, co by to było, gdyby Lucy miała gorszą pamięć! O ile mniej plastyczny byłby twój dramat i co by straciła widowia.

Byłbym zapomniał: partia dla Lucy — „Good luck, Enrique”, kordony żandarmów, a potem tajemniczy urok teleradio, przez które Lucy podala ci szyfrowany kryptonim koperty z rozkazem. Szjfr: „Będziemy sami na świecie” — tytuł popularnego przeboju mistrza jazzu i w kopercie wyrok na dwustu tysięcyce miasto. Lucy bawi nadawanie szjfru, znajdując w sobie dość naukowe cynizmy, by zakomunikować ci to właśnie w tej chwili. I ty, Enrique, i twoja ukochana siedząca pod kłosem tej samej nocy Pacyfiku, związani w te szeregi długocia fali, wiecie tylko: „Będziemy sami na świecie”. Żeby widowia lepiej zrozumiała straszną ironię, każesz zaśpiewać twój beznamiętny siostrzeczce przebrój Ellingtona pod tym tytułem. Drużisz sobie z inteligencji widza, mój dro-

gi! Zmarnowałeś bezpowrotnie i tę jeszcze okazję.

Wreszcie... dzielą cię tylko sekundy od poruszenia dzwignia, wpa-trujesz się z góry w filigranowy świat — trzydziesty szósty raz w ten sam sposób. Potem, nieświadomy coś uczynił, odczytuasz razem ze swym B-29 i... — jak tania zdyskontowałaś wrażenie wyliczanych przez siebie sekund! Jednak nie uprawdopodobniłeś się przez to ani trochę. A wiesz dlaczego? Bo to był trick Krzysztofa Gruszczyńskiego, który najpierw kazał ci opowiadać długo o sprawach, które nie mogą mieć dla ciebie po ośmiu latach życia i roku pobytu w klasztorze znaczenia nawet psychologicznych symboli wywoławczych, a potem zdyskontowałaś wiedzę o historycznym fakcie, przyniesioną przez widów ze sobą. W tym miejscu okazał się pojętnym uczniem księcia Hamleta.

Papa nie stracił mimo wszystko nadziei i chce ci dopomóc w publicznym rozstrzygnięciu konfliktu twego sumienia, żeby sztuka nie przestała być poucząca dla widowni. Z tego pomocą możesz powrócić do swych poprzednich rozważań, które w świetle tego, co teraz powiesz, wskazują, jak bardzo nieuczciwy byłś wobec własnych rodziców, posądzając ich o przekazywanie ci dziejicznego obciążenia moralnego. Nieuczciwie jest również z twej strony, że pogneblasz talę i spychasz na niego odpowiedzialność za bezsens istnienia w świecie, do którego należałeś, w odpowiedzi na jego rozpaczową i całkiem na miejscu prosiącą posady w krawcowniczej firmie. Czy to ma być szes-

aze jeden motywu ucieczki do klasztoru, czy następstwo pobytu w nim?

Dlaczego zgłaszasz się tak okrutnie nad wszystkimi względnie z poczciwą Lucy? Dlaczego przez cały czas mówisz takim dziwnym, niezrozumiałym językiem, raz pełnym metaforycznych uogólnień intelektualisty, innym razem pełnym naiwności opisu, który przemówi ma do wyobraźni twych dalekich bliskich i widowni? Cemu tak kłaskasz na scenie i miotasz? Zapewne ludzie w średniowieczu w ten sposób właśnie wyobrażali sobie wyrzuty sumienia u ludzi opętanych przez demony. Kim jesteś w końcu, Enrique? Chciałoby się zrozumieć cię. Do każdej twej tyraady przystępujesz się na nowo z dobrymi chęciami i nadzieją, a ty uciekasz, rozpytasz się w swych słowach, giniesz w nich.

Dlaczego pozwalasz usunąć twemu ojcu ze sceny Lucy, gdy dostrzeż, że jej rozbrajająca naturalność, bierność i nicność staną może na przeszkodzie jego nikczemności? Dlaczego zbywasz milczeniem historyczne wypadki swej nikczemnej siostry idiotki? Dlaczego, pod wpływem czego wahasz się stale, czy pójść do samochodu, czy pozostać, podczas gdy twój ojciec i siostra dostrzeżli już w zeblytysku niezrozumiałego u nich geniuszu, że twój powrót do domu stanowi może niebezpieczeństwo. Czyżbyś teraz, w ciągu tych kilku godzin, rozważył i zrozumieć zdołał więcej niż podczas tamtych ośmiu lat i tego jednego klasztorowego roku? Nikt ci nie wierzy, Enrique! Nawet wtedy, gdy w końcówce scenie „Indrowiazacji” krzyczysz: „stąd trze-

ba wyjść!” Zmarnowałeś okazję wstrząśnięcia widownią przez tragiczność twej samotnej ofiary. Klucz do zrozumienia tragedii twego życia Krzysztof Gruszczyński wrzucił w przepaść swej własnej duszy, własnych przemysłów i uczuć, które postanowił upouścić się za pomocą sztuki o tobie. Jesteś sztucznym patetycznym tworem, zalewającym widów ze sceny potokiem słusnych uogólnień i nieprawdziwych przeżyć. Służysz jako namiętny dowód tego, jak bardzo nie znalazł cię Gruszczyński szukając samego siebie. Niewiele lepiej wygląda sprawa twych partnerów, których jedynym zadaniem jest ułatwić ci wypowiedzianie słusnych uogólnień. Najlepszą miarą sugestyjności, jaką potrafisz nadać swojej tragedii, jest reakcja na nią twych najbliższych. Im zresztą też nie uwierzysz mimo strachu, jaki odczuwają przed FBI, i mimo matrymonialnych zamiarów twej siostry.

Skoda, że zamiast rozważań nad statystyką nie wyszedłeś z klasztoru choć na dwie godziny, by obejrzeć film „Dzieci Hirozimy”. Zobaczyłbyś, jak wymowna i wstrząsająca może być oszczędność słów.

Widz wychodzi z teatru zadowolony: choć krótko do niego ze sceny przez blisko dwie godziny, nie jest ani odrobinę mądrzejszy i ani odrobinę bogatszy w przeżyte prawdy. O ile bardziej wstrząsająca i wymowna była krótka notatka w gazetach. Krzysztof Gruszczyński, reżyser i aktorzy nie potrafili do niej nic dodać.

Jacek Parisus

P. S. W szczerości i najlepsze intencje Gruszczyńskiego nikt nie wpał.

O miłości nie tylko średniowiecznej

PIOTR Abelard zwierzał się swemu starszemu przyjacielowi, kanonikowi Gillesowi (temu jakby Anatonowi Francowi, zagubionemu w wieku XI czy XII z refleksji, jakie mu nasunął przypadkowy widok dwojga ludzi w miłosnym oddaniu, powiada: „Kiedyś na nich patrzył, miałem wrażenie, jak gdyby wszystko, o co się uolegamy, było niczym wobec tamtego”). W chwili później precyzyjnie tę myśl, oszczędzając: „Wydało mi się, że posiadli niesmiertelność”, tę niesmiertelność, dodając, którą Boecjusz określił w ten sposób: „Objąć i posiadać całą pełni życia w jednym momencie, tu i teraz, przeszłość, teraźniejszość i to, co będzie”.

Tak oto uświadomił sobie nagle 37-letni Piotr Abelard swój własny problem i swą własną klęskę. Czyżby bowiem było jego całe dotychczasowe życie, jak nie jednym wiekiem wysiłkiem zdołać owej niesmiertelności? Tylko szukał jej on na drogach, które wygadywały mu się dotąd najpewniejsze i najbardziej niezawodne; na drogach spekulacji filozoficznej i teologicznej, myśli śmiałej, genialnej, wolnej i niezależnej, a raczej pragnącej wolności i niezależności. Tymczasem teraz, gdy wszystko wskazywało na to, że znalazł się u szczytu powodzenia i sławy, ogarnęło go poczucie niedosytu, megalomania i zwątpienie. Czyż nie daremnie był jego wysiłek, daremnie złożone i kręte, by zaspokoić w sobie ów głód wieczności, który był zarazem głodem prawdy, skoro istoty najwyczajniejsze, najbardziej ograniczone i prostackie, zdają się osiągać to w ciągu kilku chwil miłosnego transu?

Był to jednak nie tylko problem Abelarda. To był problem średniowiecza. Co więcej: to był i jest problem ludzkości. Średniowiecze przeżywało go w sposób wyjątkowo ekstremistyczny. I gdy dzisiaj, z tak odległej perspektywy historycznej, spojrzymy na straszliwe zmagania się człowieka średniowiecznego, wyrażające się bądź to w skrajnym ascetyzmie w typie legendy o św. Aleksym, bądź też w indywiduálnych i zbiorowych ekscesach seksualnych, a nawet w epidemii hysterii seksualnej, falami raz po raz powracającej — trudno się oprzeć uczuciu wielkiego patosu i prawdziwej ludzkiej miłości.

Głód ciała — głód ducha, zew zmysłów i krwi — zew nadprzyrodzonej. Ujarmić ciało, zaepatać je, zniszczyć, gdy trzeba — czy też dać mu w pełni słońca i to wyrażając nieraz nawet sankcję religijną: wszak i ciała, takie jak jest, stworzone zostało przez Boga? A może wybrać drogę trzecią, pośrednią: niechaj duch wejździe w kompromis z ciałem, niechaj ciało nawet w swych najjaśniejszych imperatywnych afirmacjach służy jeszcze duchowi i zbawieniu — słowem: przyjąć sakrament małżeństwa?

Tak, ale to nie droga dla wielkiej umysłowości, dla męzów szczeru Pawłowa, których dewiza jest łacińska: „Albo wszystko, albo nic!” Zresztą czyż Apostoł Narodów nie ostrzegł tych, co chcą ująć się do grzechu cielesnego chronili się do przystąpienia sakramentu małżeńskiego: „...Tacy utrapienie ciała mieć będą... Kto jest żonaty, trzęszyć się o rzeczy światowe, jakby się podobać żonie. I w rozterce...”.

Więc i ta droga jest nader problematyczna, pomijając już to, że daleka od ideału doskonałości ewangelicznej, od absolutnej czystości pryncypalnej, najbardziej zdającej się namierzać z troską o zbawienie wieczne.

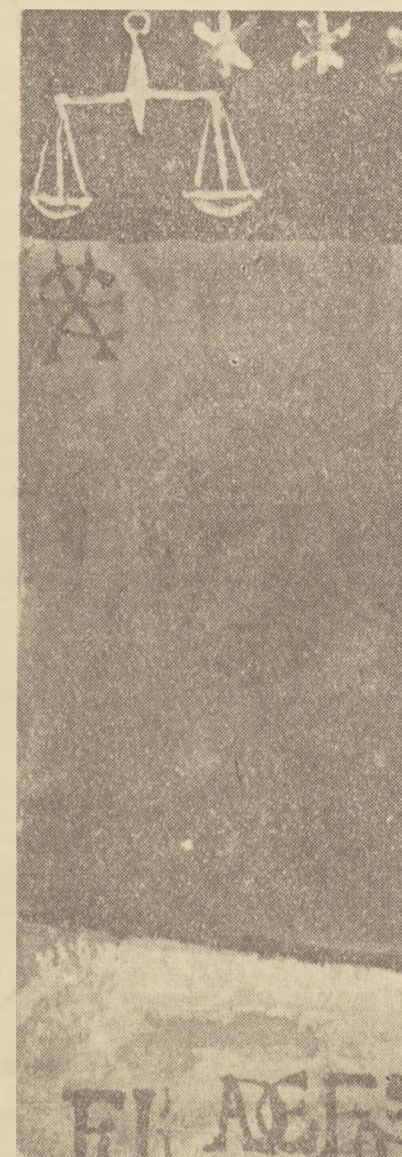
A przecież niekiedy i asceza, pogarda dla ciała, nasuwa wybrany różne wątpliwości. Nie chodzi już o to, jakimi mękami jest ona okupiona — jeden jedyńcy wykrzyk choćby samego św. Pawła o owym „osicieniu” tkwiącym w jego ciele ileż przerażającego światła rzuca na to zagadnienie! — istotne jest to, że ta metoda może się okazać wątpliwa właśnie z punktu widzenia najwyższych celów, że stanowiska troski o poznanie całej prawdy, że stanowiska uczciwości moralnej i intelektualnej: bo może właśnie w ośzarcach cielesności, natury, tzw. „świata” mieszczą się pewne elementy prawdy, nad którymi do porządku nie powinien być przejęt filozof chrześcijański, poszukujący tej prawdy na własną rękę, choć wyposażony w naukę Kościoła?

SACZNEGO takim oto pytaniem (czy pokusami) Abelarda los styka z Heloizą. Z tą cniwą pytaniami te nabrały dramatycznej siły, nabrały egzystencjalnego wymiaru: trzeba na nie było dać stanowczą odpowiedź. I Abelard dał ją: zanurzył się w miłość Heloizy, zanotował w bezkresie swego wszechwładnego do niej uczucia, w potęgę jej piękna i jej oddania.

Bo to nie był wcale tylko upadek moralny wielkiego człowieka, aż pospolity w swej historycznej powtarzalności, ani tylko straszliwa klęska woli, miłującej cnotę i wzniosłość. Nie, miłość Abelarda i Heloizy (przynajmniej w interpretacji Helen Waddell) była czymś więcej: była absolutem ludzkiej namiętności, jak ją określił Gil-

les, rzeczą, którą „pragnęli na próżno widzieć prorocy i królowie”, zwłaszcza że był to związek genialnego myśliciela z uosobieniem poezji i czaru kobiecości, z „technicznym fiętu o wieczorze”.

Nie dziwmy się tym zachwytem starego mędrca i sensualisty nad Heloizą: na tle kultury średniowiecznej aż do wieku XII była ona naprawdę zjawiskiem wyjątkowym. Klimat ówczesny nie tylko nie sprzyjał rozwojowi takich istot, ale był im wręcz wrogi. Wciąż jeszcze wśród chrześcijan panowało przekonanie o niższości kobiety w stosunku do mężczyzny, jej większej grzeszności, podatności na zło. Nie zdołał zachwiać tego powszechnego stanowiska nawet kult pierwszych męczenników chrześcijaństwa, ani kult Najświętszej Maryi Panny. Nawet św. Tomasz z Akwinu, który jak we wszystkich dziedzinach tak i w tej sprawie był wyrazicielem realizmu, umiaru i rozsądku, podkreślał wyższość męż-



Rys. Krystyna Maślanka

czyzny nad kobietą uzasadniając tę wyższość jego większą zdolnością do stawiania czoła pokusom.

Lecz Heloiza miała przeciwko sobie również potężne uprzedzenia średniowiecznego chrześcijaństwa do miłości mężczyzny i kobiety. Nawet uświęcona sakramentem małżeństwa miłość ta nie przestaje być uważana za koncesję na rzecz wymogów ciała, nie zaś za afirmację ciała. Natomiast poza małżeństwem rozciągała się rozległa i przepastna dziedzina grzechu. Gdy Gilles tłumaczy Heloizie (w której już drzemała miłość do Abelarda), że „korzeniem małżeństwa jest zaspokajanie żądź cielesnych” i że miłość podlega prawu przemijania — wydaje jej się to straszne. Przed jej oczyma bowiem mający miraż zgola innej miłości, miłości jako najważniejszej i najwyższej sprawy kobiety, miłości ekstazy, miłości, wszechogarniającej. Takie pojęcie miłości było odcie w jej epoce, choć niebawem miał nastąpić pod tym względem olbrzymi przewrót, a to dzięki rozkwitowi poezji trubadurskiej i trubawskiej z jej apoteozą kobiety i sublimacją miłości zmysłowej.

Rzecz jasna, dominowanie ideału ascetycznego w skali wartości duchowych w średnich wiekach nie oznaczało bynajmniej beapalcacyjnej jeszcze realizacji tego ideału. W życiu bywało rozmaicie. Właśnie w czasach Abelarda i Heloizy nawiędzia Europę zachodnią, szczególnie Francję i Włochy, powrócił na fala rozwiązości. I Orderic Vital pisze w swej historii Kościoła, iż pokolenia około roku 1100 oddawały się takiej nieobyczajności, jakiej przedtem w ogóle nie znano (oczywiście, było to złudzenie, jakiemu ulegali kronikarze również poprzednich epok — i ulegają nadal kronikarze epok współczesnych), albowiem mniemano, że skoro już przekroczone zostały krytyczny rok 1000, można się już teraz wyżyć odpowiedzialności i przywłaszczyc sobie prawo do zaspokojenia wszelkich pożądań. Złe obyczaj, tak się rozkrzewiły we Francji, że opat Henryk z Clairvaux pisał w r. 1177 (a więc już po śmierci Heloizy) do papieża Aleksandra III: „Dawna Sodoma na nowo powstała z popiołów”.

Ten stan rzeczy z natury swej pogłębiał jeszcze nieufność do spraw płci i ciała, nieufność głęboko zakorzeniona w mentalności średniowiecznej.

TRZEBA mieć to wszystko na uwadze, by należycie ocenić niezwykłą miłość Heloizy i Abelarda,

który nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

LECZ jak w każdym związku miłosnym, tak i nawet w tym stopniu zaangażowania się i ryzyka partnerów nie jest równy. Nawet i w tej idealnej i harmonijnej miłości stroną więcej dającą jest kobieta. Heloiza daje więcej, bo daje wszystko, daje całą siebie, swoją cześć, swoje cierpienie, swoją duszę: „Za tobą poszłabym przez ognie piekieł — mówi. — Gotowa jestem kląć i oszukiwać dla ciebie... Moją cześć rzuciłam na żer krakom Paryża i dumną byłam, gdy nazywano mnie twoją dziewczynką”. Wprawdzie i Abelard posiada się do ostatecznej granicy w ryzyku i oddaniu dla Heloizy, zachowując jednak to, co obydwoje uważają za jego powołanie, za wartość naczelną: aktywność intelektualną,

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

REFLEKSJE NA CODZIEN

(Dokończenie ze str. 1)

ma możliwość przeobrażenia formy proste i surowe w najbardziej skomplikowane narzędzia stojące na usługach jego potrzeb. W tym procesie odkrywania i przetwarzania zamkniętych w przyrodzie sił jest każdy człowiek współuczestnikiem stworzenia dzieła Boga.

Bóg sam go do tej godności podniósł i w ten sposób uczynił go panem całej ziemi. Wszystkie, co myśl ludzka dołata doład osiągnąć, jest tylko nieskończenie małą cząstką udziału w dziele Boga, jest korzystaniem z prawa przez Niego nam udzielonego. Dlatego we wszelkiej pracy trzeba szukać tej cząstki Bożej, która nadaje jej szlachetność i piękno; dlatego również praca powinna być wykonywana z szacunkiem i pietą, należnym wszelkiemu pełnieniu się woli Bożej.

Każde zbliżenie do Boga napędza duszę ludzką radością i wdzięcznością. Zbadajmy teraz nasz własny stosunek do pracy. Gdybyśmy, mimo całego jej trudu, umieli spojrzeć na nią jako na naszą cząstkę uczestnictwa w Bożym dziele stwarzania, nie moglibyśmy z taką niechęcią powracać do niej codziennie. Rodzaj naszych zajęć jest tu sprawą obojętną. Czy będzie to praca umysłowa, czy też fizyczna, w jednakowym stopniu możemy się przez nią przybliżyć lub oddalić od ostatecznego Celu, którym jest Bóg. W naszym społeczeństwie praca ma służyć przede wszystkim dobru wspólnemu. Przez to samo zwiększa się zakres odpowiedzialności za poziom jej wykonania. Jest rzeczą zupełnie różną, gdy przez lenistwo i niedbalstwo zniszczymy własną opinię solidnego właściciela warsztatu rzemieślniczego, a co innego, kiedy z zaniedbania opóźnimy wykonanie pracy, a przez to powodujemy niewypełnienie normy w całym przedsiębiorstwie i skasowanie premii

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

która nadaje jej znaczenie paradygmatu, antycypacji czegoś, co się w nieskończony sposób i w różnych odmianach będzie powtarzało w dziejach ludzkich serc.

POTĘPIENIE NIE ZASTĄPI WIEDZY

KIEDY wrócić po zakończeniu II wojny światowej odkryte zostały do końca wszystkie straszne tajemnice, jakie kryła na swym terenie hitlerowska III Rzesza, świat zbyt był pochłonięty i upojony zwycięstwem, spragniony zwycięstwa, by chciał wracać do koszmarnych przeszłości. Świadomy rozrachunek z nią pozostawiono politykom, pisarzom, trybunałowi normberskiemu i... dobrotliwemu czasowi, który leczy najboleśnicze i najgłębsze nawet rany. Alianci program „trzech D” (demilitaryzacja, denazyfikacja, demokratyzacja) i działalność trybunałów sądzących zbrodniarzy wojennych uspokajały sumienia i poczucia moralne. Obóz postępu raz jeszcze wskazywał klasowe sprężyny faszyzmu i scharakteryzował go jako najbardziej zwyrodniałą i zbrodniczą postać imperializmu. Cały świat wyraził zdziwienie i ubolewanie, że ta znaczna część narodu niemieckiego w końcu dała się oszukać przez Hitlera i omamnić jego ideologią, że uległa i dała się ziać. W ten sposób przeszłość Niemiec z lat 1933—1945, faszyzm niemiecki — zostały zasadniczo wyczerpane jako zagadnienie, a najbliższa przyszłość narodu niemieckiego złożona w ręce czterech zwyciężczych mocarstw okupacyjnych.

Początkowo radę z zakończenia wojny i pamięć o niej zaczęły pozwolić rozpylić się w morzu nowych spraw. Życie nie zatrzymało się ani na chwilę, zmieniając tylko swe tory i stawiając przed ludźmi nowe zadania, wywołując nowe i uwalniając stare konflikty i rodząc nowe wielkie namętności. Świat po prostu wyparł się faszyzmu jako patologiję narodził na kulturze współczesnej. Demokratyczny ideologiczny burżuazjizm doszukujący się gwarancji przed możliwością recydywy faszyzmu w systemie demokracji parlamentarnej i kultury demokratycznej, a obóz socjalizmu i pokoju w swą własną, uwielokrotnioną po wojnie potęgę oraz wzrost świadomości klasowej i aktywności politycznej mas na świecie. Nowa siła polityczna, jaka pojawiła się wraz z powojennym wzrostem napięcia międzynarodowego — światowy ruch pokoju, wzięła na siebie — obóz krajów obozu pokoju — zadania walki przeciw wojnie i upowszechnienia ideologii pokojowego współistnienia bez względu na istniejące różnice, na podstawie wspólnej tradycji i najszerzej pojętej jedności kulturowej świata. Międzyklasowy i międzynarodowy charakter ruchu pokoju, jego uniwersalizm i zasięg znalazły swoje przyczyny niewątpliwie w apokaliptycznej, ludo- i kulturobojęcej wizji nowocześniejszej wojny. Jest jednak chyba jakaś poważna luka w stosunku do wszystkich głównych, czynnych obecnie sił politycznych do najbliższej przeszłości, do faszyzmu: niepełna, niekompletna jego znajomość. Mam tu na myśli, oczywiście, nie znajomość ze strony współczesnych epigonów i cynicznych apologetów. Ci są tylko sygnałem, że historyczne zjawisko faszyzmu wymaga szybkiego i dokładnego zbadania. Leży to niewątpliwie również w interesie samego narodu niemieckiego, by w całości mógł zdobyć właściwe perspektywy dla oceny swej mało chwalebnej przeszłości. Wszyscyujemy przecież w epoce, w której pokój nie jest dobrodziejstwem naturalnie spływającym na świat — dobitnie przypomnieli nam o tym historia ostatniego dziesięciolecia.

Ciarłki przechodzą na myśl, co by się stało, gdyby epoka atomowa narodziła się nawet o rok wcześniej, w III Rzeszy Hitlera. Jak wiemy — nie było to możliwe. Czy ktokolwiek może zagarzyć, że broń atomowa i termojądrowa — niedostępna jeszcze dla Hitlera — nie znajdzie się w pewnym momencie w ręku sił, które okażą się zdolne postawić świat przed faktem dokonanym, kiedy będzie już za późno na rozważania? Czy obecny układ sił, w którym stałe następują przesunięcia na rzecz obozu pokoju stanowią dostateczną gwarancję przed ludobójczą wojną atomową, czy można uznać za w pełni przekonujący argument statystyk? Przecież w momencie opanowania władzy w Niemczech przez hitlerowców przynależąca większość narodu niemieckiego była antyhitlerowska, przecież działali wówczas w Niemczech w zorganizowany sposób potężne, świadome antyhitlerowskie siły polityczne. Czyż przynależąca większość Niemców nie potępiłaby możliwości udziału w zbrodni i samej zbrodni dokonywanej w ich imieniu na milionach Bogu ducha winnych ludzi, bezbronnnych kobiet i dzieci, w przededniu wybuchu

wojny i już w czasie jej trwania, i — czy to w jakiś sposób zapobiegło zbrodni ludobójstwa nie doprowadzonej do zaplanowanych rozmiarów tylko z przyczyn niezależnych od samych Niemców. A czy porywanie się na wojnę przeciw światu nie było oczywistym szaleństwem ze strony nazistowskiego kierownictwa, pozbawionym jakichkolwiek trwałych perspektyw, jakichkolwiek poważnych szans. — A jednak...

Lord Russell of Liverpool pisał w swej książce w związku z wyświetleniem tuż po wojnie w Lueneburgu dokumentarnego filmu obrazującego zbrodnię hitlerowską w Bergen - Belsen, że: „dla niektórych Niemców film ten był niemalą rozrywką, wielu po prostu uważało go za zwykłą propagandę”. Autor tego artykułu w czasie przymusowego pobytu na terenie Niemiec w dnach ich klęski i szereg jeszcze miesiąc później, bawiąc na terenie znanej wypoczynkowej miejscowości Travemuende, miał okazję przeprowadzić rozmowę z byłym żołnierzem Wehrmachtu, inwalidą wojennym. Człowiek ten, wobec przymusowanych w porcie do nabrzązka zwłok — ofiar hitlerowskiego bestialstwa — wypłukanych przez fale z zatopionej na wybrzeży Travemuende statku wlozającego więźniów obozu koncentracyjnego, zakończył rozmowę następującymi słowami: „Es wird gleich Krieg”. Ubóstwo wyobraźni i niewiedza, brak poczucia odpowiedzialności i cynizm, egoizm i degradacja moralna — czy jesteśmy dziś dostatecznie uzbrojeni przeciw tym cechom ludzi, którzy sami nawet nie będąc przedstawicielami imperialistycznego kapitału — współtworzą społeczeństwo. Czy kwalifikując prawidłowo klasowe sprężyny faszyzmu i stając na pozycjach rewolucyjnego socjalizmu, wystarczająco dobrze i dokładnie poznaliśmy warunki, w jakich i dzięki którym naziści mogli realizować swój program, byśmy mogli czuć się uspokojeni i zabezpieczeni przed ewentualnością recydywy zjawiska, któremu na imię ludobójstwo.

Cóż naprawdę wiemy o ludobójczym faszyzmie hitlerowskim poza znajomością jego zbrodni i roli, jaka pełnił wobec imperialistycznego kapitału niemieckiego. Czy ze względu na stadium rozwoju społecznego był on w Niemczech jakąś specyficzną, konieczną formą przebiegu walki klas? Stanowiło takie bytoby absurdalne. Jeśli więc nie, jeśli faszyzm nie był koniecznością, to jakie czynniki złożyły się na możliwość jego zwycięstwa, rozwoju i realizacji jego programu, jakie wpłynęły na to warunki. Czy analiza sił klasowych plus znajomość ideologii i techniki rządzenia stanowią dostateczną wykładnię dla Oświęcimia i Dachau, Oradour i Lidice, Warszawy i Kljowa.

Jakże uboga jest nasza wiedza o współczesnej cywilizacji i kulturze, jak niebezpiecznie uboga ze względu na ewentualność praktycznych konsekwencji tego ubóstwa. Jakże często dotychczas pokrywaliśmy prawdziwymi, ale aż do bezsensu absolutnej jawności ogólnikowymi twierdzeniami i pojęciami konieczności lub nieuchronności rzeczywistości niewiedzą o procesach współczesnej kultury i cywilizacji, i własną nieudolność lub beznadziejność.

W związku z wydaniem polskiego przekładu książki Lorda Russell of Liverpool, Paweł Jasienica pisał w artykule „Walka książek”. „Nowoczesnemu człowiekowi trzeba coraz więcej wiedzy, podanej w dobrej formie słownej, nie zaś samych tylko emocji i wzruszeń. Zresztą poznanie prawdy naukowej dostarcza przeżyć estetycznych równie silnych, co i sztuka”. W konkretnym przypadku chodzi jednak chyba nie tyle o przeżycia estetyczne jako kryterium potrzeby, co o wiedzę dla potrzeb praktycznych, dla polityki, niezbędnej każdemu człowiekowi, umożliwiającej świadome działanie i konstytuującą stan ludzkich ocen i stosunek do świata. O wiedzę, która może być skutecznym zabezpieczeniem przeciw widmu wojny atomowej i zniszczenia, wiedzę, której wartości z pewnością nie mierzy się tylko groką o dobrą znajomość historii.

OSTANIE

ludzkich umysłów, choćby w Polsce, świadczą może stopień popularności filmu „Dzieci Hiroszimy”, który właśnie wszedł na ekrany kin. Publiczność niemiecka w Lueneburgu bawił w 1945 roku film o obozie koncentracyjnym w Bergen - Belsen lub też przyjmowała go z dezaprobatą niedowierzenia. Publiczność polska, mimo niewątpliwego przywiązania do sprawy pokoju i doświadczeń sprzed dziesięciu lat, przyjmując brakim zainteresowania w roku 1966 wstrząsający w swą subtelny wymowie, oskarżycielski film japoński o ofiarach pierwszej bomby atomowej. Pewna studentka medycyny skrzyła mi się, że nie mogła znaleźć wśród swych kolegów cmentych, którzy wraz z nią poszliby go obejrzeć. Sam, oglądając ten film w Warszawie jeszcze w czasie trwania Świąt na stadium rozwoju społecznego był on w Niemczech jakąś specyficzną, konieczną formą przebiegu walki klas? Stanowiło takie bytoby absurdalne. Jeśli więc nie, jeśli faszyzm nie był koniecznością, to jakie czynniki złożyły się na możliwość jego zwycięstwa, rozwoju i realizacji jego programu, jakie wpłynęły na to warunki. Czy analiza sił klasowych plus znajomość ideologii i techniki rządzenia stanowią dostateczną wykładnię dla Oświęcimia i Dachau, Oradour i Lidice, Warszawy i Kljowa.

teoretycznego i praktycznego, by uczestniczyć w każdym nowoczesnym procesie technologicznym. Postawy ludzi, obrabiających przez osiem godzin dziennie przy swej maszynie jakieś detale, o nieznanym często przeznaczeniu, są podobne na całym świecie. Z niewielkimi, choć może, ze względów politycznych bardzo istotnymi różnicami, podobne są intelektualne perspektywy i możliwości oceny z ich strony wszystkich tych zjawisk, które nie dają się objąć wyobraźni, zależną w znacznym stopniu od roli wyznaczonej im w społeczeństwie przez żywiołowe procesy cywilizacyjne. W socjalistycznej Polsce „organizowana” świadomość klasowa czyni wytwórcę w jego przekonaniu autematycznie — przez sam fakt udziału w społecznym procesie wytwórczym — współtwórcą trudno wyobrażanej dla rzeczywistości społeczno-kulturalnej, która jako pewnik zgodna jest z jego interesem, a równocześnie niesprzeczną z tym wszystkim, co stanowi rzeczywistą wartość. W kapitalistycznej Ameryce np. — i nie tylko w Ameryce — świadomość społeczna nie pozbudowana najbardziej nawet powierzoną wiedzą o prawach rozwoju społecznego, zdana jest na różne wpływy ideologiczne i fluktuacje, co dwadzieścia lat temu umożliwiło Hitlerowi przekształcenie socjalistycznych poglądów części proletariatu niemieckiego i liberalno - mieszczańskich przedstawicieli innych warstw w narodowo - socjalistyczne poglądy kohort Weffen SS.

Czy obecny stan kulturalny społeczeństw może mieć jakiś zasadniczy wpływ na dalszy bieg historii? Sądzę, że tak, ponieważ żywiołowy rozwój cywilizacji wywiera obecnie nie małe, a znaczny wpływ na bieg wydarzeń, co i podstawowe przeciwieństwa klasowe — w zasadzie, w ogólnym obrazie, takie same w epoce pary, elektryczności, i energii atomowej i mózgow elektrycznych. Ocena ze względu na tkład klasowy, choć nie nie straciła ze swej ważności i nie przestała być podstawową perspektywą z punktu widzenia historii, dostarczyć tylko wiedzy ogólnej, niewystarczającej. Przełożenie na język walki klas wszystkich procesów i problemów współczesnych społeczeństw nie daje nam jeszcze ich znajomości ani pełnego obrazu.

Nie czytałem esasy Aleksandra Hertza w paryskiej „Kulturze”, o którym pisał Tadeusz Konwicki w swym „Fetynie pseudofilozoficznym” (Nowa Kultura nr 10 z br.), ale aż nadto dobrze rozumiem, co miał Hertz na myśli charakteryzując współczesną kulturę amerykańską jako: „plebejską, zrodzoną z naturalnego procesu dorabiania się szerokiej mas ludowej, nie obciążonych dziedzictwem intelektualnym”. Te kulturalne i intelektualne cechy społeczeństwa amerykańskiego

sklego mniej wydają mi się dziwnie, bardziej — niepokojące, a już absolutnie — w przeciwieństwie do Hertza — nie warte apologii. W społeczeństwie o takich właśnie cechach kulturalno - intelektualnych znalazło się dość ludzi zdolnych do wytworzenia wielkiej cywilizacji materialnej, wyzwolenia energii atomowej i budowy elektronicznych mózgow. To „antyintelektualistyczne” społeczeństwo amerykańskie dysponuje bronią termojądrową, z której już raz pozwolono zrobić użytek i działają w nim te same siły społeczne, które uznają ongiś ruch i ideologię ludzi marginesu społecznego — narodowy socjalizm Hitlera, za dogodną narzędzie działania. Świadomość specyfiki kultur narodowych i ich traocy nie czyni mnie wcale spokojniejszym: mniej ważne wydają się subtelności mózgowych ideologicznych różnic, ważniejsze ogólne podobieństwo sytuacji społeczno - cywilizacyjnej i kulturalnej.

Pewien mój znajomy, człowiek niewątpliwie szlachetny, o kryształowym charakterze i subtelny intelektualnie, który całą wojnę przesiedział w hitlerowskich obozach koncentracyjnych, pragnął ongiś, przed wojną być lekarzem. Po wojnie, mimo młodego jeszcze stosunkowo wieku i powstania reynich możliwości realizacji jego zamierzeń, zrezygnował z nich. Na pytanie: dlaczego? — udzielił mi tylko lakonicznej odpowiedzi, że — jego zdaniem — człowiek, który przeżył hitlerowskie obozy koncentracyjne nie powinien nigdy zajmować się praktyką lekarską. Czyżby kryzys wiary w siły moralne, niezbędne lekarzom w walce o życie człowieka? Miliony ludzi przeszło przez obozy koncentracyjne Hitlera. Pracują, żyją — zapomniał? Cóż o nich wiemy, co wiemy o zlianach, jakie zajęł musieli w ich psychice! Na najpotworniejsze zbrodnie patrzyli nie tylko oprawcy z SS, musieli również patrzeć oni, musieli patrzeć oboje...

Faszyzm, to wszystko, co kryje się za tym słowem, i jego współczesnych epigonów — pozostawiliśmy pisarzom, poetom i dziennikarzom. Skąd mają czerpać natchnienie politycy — z literatury, z gazet? Skąd mają czerpać wiedzę pisarze i dziennikarze, którzy kontentować się muszą z reguły prymitywnym, socjograficznym opisem i stałą bezradni wobec tych wszystkich problemów, które wytracają poza wiedzą o walce klas, i o imperializmie i poza moralne potępienie. Na szaleć walki o pokój rzucamy coraz to nowe autorytety nazwisk, wartości i argumentację moralną — to bardzo wiele, ale czy wszystko? Ludzi dobranej woli, ludzi ofiarnych i moralnych nie brakuje na szczęście nigdy, ale czy dotychczas byli oni w stanie

tywiczn? Nie wiadomo. Czy mówiono o mechanizacji rolnictwa? W Kłodzku o mechanizacji rolnictwa mówiono tylko na naradzie w warsztacie przy ulicy Piastowskiej. Wspomniano o tym, że zadania się zwiększą i że zwiększy się odpowiedzialność, ale jak, w jakim stopniu, co trzeba będzie robić, na co się j u z trzeba przygotować — tego wszystkiego w gruncie rzeczy nie wiadomo.

Ten sam stary robotnik, który opowiedział mi historię małej po-

porwać masę swym autorytetem — tyle skutecznie, by zapobiec katastrofom wojen? Mimo woli pamięć przywołuje wydarzenia poprzedzające wybuch pierwszej wojny światowej, przedstawiłone przez Du Gard'a w „Rodzynie Thibault”. Przed pierwszą wojną światową, kiedy nie znane były jeszcze czołgi i samoloty, wyścigi zdraza przawców socjaldemokracji i zamordowanie Jaurès'a, by zrealizowały się plany imperialistów. Czy były to rzeczywiste warunki dostateczne, by wojna stała się koniecznością; jeśli tak — to dlaczego? Przed drugą wojną światową nienawidź do socjalizmu i klasowe zaśpienie sygnatariuszy układu Monachijskiego plus hitlerowskie metody walki z przeciwnikami wewnętrznymi, okazały się również dostatecznym warunkiem, by imperializm niemiecki runął na świat z całą potęgą swej nowoczesnej techniki i hitlerowskiej nieludzkości. Przy okazji nowoczesna cywilizacja wylegitymowała się nie tylko uwielokrotnionymi zdolnościami niszczycielskimi, ale również, w swej najbardziej antyludzkiej postaci — wielkoprzemysłowymi metodami mordowania. Dlaczego stało się to możliwe? Niemcy nie są chyba narodem szczególnie upodleganym pod względem moralnym i intelektualnym, i w swej ogromnej większości — biorąc pod uwagę każdego z osobna — zdolni byli do pełnej oceny i moralnego uczuciowego reagowania na coś, co sami określiliby jako zbrodnię. W jaki sposób, mimo to, mogło dojść do zbrodni na tak gigantyczną skalę? Jakie warunki są obecnie dostateczne, by uchronić ludzkość od wojny atomowej, co wiemy o nich, by dostatecznie mocno ubrozić politykę obozu pokoju, by zagwarantować zwycięstwo światowego ruchu pokoju.

Sądzę, że żadna potrzeba nie jest dziś równo paląca, jak szybkie odrobienie zaniechań w wiedzy o najnowszej historii oraz o współczesnej cywilizacji materialnej i jej wpływie na kulturę, na możliwość i perspektywę oceny przez człowieka jego roli w życiu, współodpowiedzialności za bieg wydarzeń i udziału w realizacji przyjętych przez niego wartości. Faszyzm hitlerowski wydaje się być przykładem najbardziej reprezentatywnym i najbardziej godnym zainteresowania.

Na każdą książkę wydaną w NRF apozycją postaci hitlerowskich zbrodniarzy i usiłującą wybielić faszyzm, spoględamy w gruncie rzeczy z pewną pobłażliwą wyrozumiałością jak na curiosum, nie warte głębszego zainteresowania. Zafascynowani własną ideologią i problematyką jesteśmy rozbrojeni intelektualnie wobec faszyzmu i ludobójstwa jako zjawisk społeczno - kulturalnych. A w tym tkwi chyba jakiś niebezpieczeństwo.

Rewolucja na ulicy szarej

(Dokończenie ze str. 8)

szyny, w którym jest dużo ciężkiej pracy.

Dlaczego? — Niewiele ponad 400 złotych zarabia starsza kobieta pracująca w warsztacie jako sprzątaczką. Jaką samą mają sprzątaczkę pracującą na przykład w spółdzielniach fryzjerskich. A przecież jest to praca dużo cięższa. Starsza kobieta z zakładu przy ul. Piastowskiej w Kłodzku — musi sprzątać biuro, brudne i bardzo zanieczyszczone hale warsztatowe. Z jednej hali o drugiej przejść trzeba kilkadziesiąt metrów. Kobieta ta ma dzieci, a praca którą wykonuje jest jej jedynym zasadniczym źródłem dochodu.

— No i dlaczego nie szuka zajęcia w spółdzielni fryzjerskiej?

Otoż sprzątaczką pozostaje w zakładzie tylko do czasu, kiedy nie wykona najpotrzebniejszą porządków. Pamięta się o jej pracy. Po prostu ogranicza się śmiecenie, pozwała się jej dorabiać w prywatnym osoo wtedy, gdy zrobi swoje. Nie pilnuje się obecności z listą w ręku. Poza tym otrzymuje drzewo, załatw sprawnie reguluje takie sprawy, jak przydział węgla dla swoich pracowników, ale przede wszystkim — r o z u m i e t r o s k i i k i o p o l y l u d z k i e.

Myślę, że dlatego sprzątaczką nie odchodzi z zakładu. Podoone zresztą, jak i inni. Teraz emigracja należy do wyjątków. Żałoga się żyją. W pracy. W najtrudniejszych momentach.

Kiedy przyglądam się człowiekowi w skórzanej pilocie, przypominają mi się wielcy bohaterowie książek o naszych czasach. Jest coś z takiego schematycznego portretu z jego twarzy. W ogóle w całym zachowaniu. — Przecież człowiek. Jeden z tych grubasów, jakich spotykamy co dzień na ulicy. Opowiada długimi, rozległymi zdaniami. Każdą swoją opowieść okrasza mnóstwem technicznych określeń. Jest zadowolony, jeżeli męczyć się z bardzo kaligraficznym notowaniem nazw. Gdy przyłącza się do naszej rozmowy ktoś trzeci, człowiek w pilocie odchodzi. Rozumie, że mimo wszystko swobodnie można porozmawiać z cztery oczy. Na osobności.

Co o nim mówią inni? — No cóż? To jest nasz człowiek. Dobry facet. Dobry specjalista, człowiek z głową na karku. Nie ma co gadać — dużo tutaj zrobił...

Ludzie są oszczędni w pochwałach, a przecież nie traktują rozmowy z kimś obcym, jako występu towarzyswa wzajemnej adoracji. To, co mówią, wystarczy. Wystarczy, jeżeli obejrzysz się dowody.

Nie miałem zamiaru pisać o jednym człowieku z miasteczka koronkowej architektury. Nie byłam na-



to przygotowany. Chciałem pokazać pracę matego warsztatu, który w swoim zakresie realizuje pomoc dla wsi...

W powiatowym mieście wielkie wydarzenia docierają dośd późno do ludzkiej świadomości. Nie zawsze to jest wina gazet, kronik filmowych.

O zadaniach rolnictwa w przyszłym planie gospodarczym wie się z rzeczywistnie niewiele. Jeszcze to nie dotarło na odpowiedni szczebel. O czym innym się mówi. Dla ludzi patrzących z okien małej ulicy, hasło „Frontem do rolnictwa” znówu przypomniał zwykły slogan.

Czy były jakieś narady perspek-

wiatowej afery świetlicowej, mówi o niedbalstwie różnych czynników bez żadnych grzeźnościowych ukłonoów.

— Gdybyśmy pracowali u nas — tak, jak pracują w ministerstwie, to nie zbudowalibyśmy socjalizmu za 200 lat...

Jest jakaś prawda w tej przesadzie. Powszechnie o mechanizacji rolnictwa wiemy bardzo mało. W każdym razie znany tylko część zagadnienia. Tę najbardziej rzucającą się w oczy. Pamiętamy kroniki filmowe, uśmiechniętych kombajnistów, traktory przetykujące spóldzielce pola, zadowolonych spóldzielców i uśmiechniętych robotni-

— Zareź potem człowiek w dyrektorskim gabinecie zabiera się do codziennej pracy.

ków PGR w towarzystwie instruktorów, naukowców. Taką jest nasza wiedza.

A jak sprawa wygląda w rzeczywistości? Zie. Nie stać nas dotychczas na pełne zaspokojenie potrzeb rolnictwa w tym zakresie. Korzystamy z pomocy ZSRR, produkujemy (nie najlepszy) własny sprzęt, ale przede wszystkim wykorzystujemy rezerwy. Konkretnie: dawne typy maszyn. Nieraz stare maszyny niemieckie, belgijskie, czeskie... Stąd kapitalna waga drobnych zakładów stanowiących zaplecze rolnictwa. Dopóki przemysł nie zaspokoi potrzeb mechanizacji — zakłady takie mają bardzo trudne i bardzo odpowiedzialne zadanie.

Wszystko to rozumieją pracownicy matego zakładu w Kłodzku. Nie narzekają na swoją niewiedzę, bo mało przecież efektywną pracę. Robią co mogą. Robią na starym sprzęcie, montowanym najczęściej własnym przemysłem.

Dotychczas nikt poważnie nie zajął się tą placówką. Do tej pory brakuje najbardziej podstawowych przyrządów (strugarika, spawarka elektryczna, piła elektryczna, wytwornica acetylenowa, wózek akumulatorowy...). To nie są wielkie wymagania. Można je spełnić. Zamieść takiej konkretnej pomocy odpowiedzialne resorty popędzają szereg, delikatnie mówiąc, kompromitujących gaff. Oto na przykład z powodu braku rury na terenie Zjednoczenia PGR Zabkowiec leżą poidła automatyczne wartości kilku milionów złotych. Poidła nie można wykorzystać. Kilka milionów leży w błocie.

Wiele się mówi o potrzebie uprawy kukurydzy, o konieczności podniesienia hodowli. Kilku pracowników zakładu skonstruowało model łuszcarki do kukurydzy. Model zdał egzamin. Poklepano po ramieniu, zaplaczono i... koniec. Model stoi na placu. Stoi tak od dawna. O realizacji produkcji nikt nie myśli. Nie o pieniądze tylko chodziło konstruktorom łuszcarki. Niecierpliwą się. A wieś czeka. Ten sam los spotkał inne pomysły. (snoźbie-racze, chwytaące plew...)

Jest chyba dużo prawdy w powiedzeniu starego robotnika o socjalizmie, który trzeba budować 200 lat...

Mała ulica była o tej porze bar-

dzo szara. Na pierwszy rzut oka nie się na niej nie dzieje. Wszystko jest normalne, codzienne, zwykłe.

Turyści przyjeżdżający do Kłodzka szukają przede wszystkim rzeczy nietypowych. Zachylają się egzotykiem tego miasta, rysują małe mostki, którym patronują zamyśleni, kamienni święci, fotografują zapuszczone zabytki architektoniczne, spacerują wąskimi uliczkami i przyglądają się brudnym, rozkrzyżczonym gromadom cyganów, albo piją kawę w nudnej powiatowej kawiarni na rynku i piszą bajki o dziewięćsetach zakochanych w słowkach. To jest cała niecodziennność, na którą polują, która ich cieszy, zarazem i dziwi...

Pani Stanisławowa przygląda się z okien swojego mieszkanka szarej ulicy. Daleko ponad fasadami małych kamieniczek, ponad wysmukłymi dachami kościołów wznosi się ponura twierdza zbudowana jeszcze przez Wielkiego Fryca. Podczas ostatniej wojny w twierdzy znajdowało się więzienie wojskowe... Pani Stanisławowa podpira głowę i przypomina jej się tamte czasy. Na przykład warsztat. Dawny właściciel i jego rudy pomocnik zatrudniali zaledwie kilku pracowników. Warsztat był mały, nie dający wielkiej korzyści. Dawniej...

W swoim gabinecie młody inżynier przedstawia wieczór nad planem kolejnych remontów. Dobrze zna ludzi, z którymi przyszło mu pracować. Wie, że można na nich liczyć. Tylko nieraz zastanawia się nad złą, gryzącą sprawą.

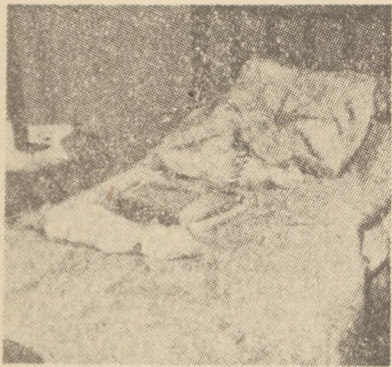
— Przecież zrobiono w tym małym powiatowym warsztacie tyle naprawdę wielkich rzeczy. To nie są wcale — jakies szare, mało porównawalne miasteczko dzieją się od dziesięciu lat naprawdę ważne wydarzenia. Zmieniają się ludzie. Dlaczego nikt nie wykazał dotychczas znajomości tego prostego i jakże ważnego faktu: ile mogą zrobić... Dlaczego — myśli dalej młody inżynier — nie stworzono tym ludziom takich warunków, które pozwoliłyby im pchnąć powiatową rewolucję naprzód? O wiele dalej niż dotychczas...

Zareź potem człowiek w dyrektorskim gabinecie zabiera się do codziennej pracy.

Władysław Lech Terlecki

Redaguje Zespól:
 Prenumerata miesięczna 4 zł kwartalna 12 zł
 Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, tel. 8-69-11 (15)
 Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmuja wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Wsklepiodrukowe RSW „Prasa” w-wa Marszałkowska 3/5.
 Zam. nr. 556
 B-7-23517

PODSTARZAKA MUZA



Louis Bunuel: „Pies andaluzyjski“

JEDNI uważają późniejsze filmy niemie za szczyt sztuki filmowej, drudzy — za przykryw. Renoir twierdzi, że film dopiero teraz staje się sztuką, inni — że właśnie teraz często przestaje nią być.

Te dwa poglądy tylko pozornie są sprzeczne. Wiadomo, że ogromna większość współczesnej produkcji światowej to obrazy bardzo słabe, bez ambicji artystycznych, mimo że często na solnym poziomie technicznym. Procent filmów wybitnych jest minimalny. Z drugiej strony filmy niemie z lat dwudziestych mimo swej częstej naiwności wykazują tak wiele inwencji, tak wiele tęsknot w kierunku poszukiwań, że dziś mogą być nie tyle doskonałym wzorem, co przykładem tworzenia czysto filmowego języka. Właściwie to nie tylko tęsknota do poszukiwań, co potrzeba, konieczność poszukiwań. To jeszcze czas, kiedy każdy niemal film był uwalniającym.

W okresie, kiedy środki filmowe nie były jeszcze uformowanym, powszechnie usankcjonowanym arsenale, kiedy nie istniał katalog ponumerowanych chwytów filmowych — reżyser bardziej musiał ufać swojej wynalazczości i inwencji niż przepisom. Musiał więcej myśleć, bo mniej wiedział. Był bardziej indywidualny, a konieczność zmuszała go do częstszego używania inteligencji. Były to czasy intensywnego myślenia — przynajmniej w dziedzinie filmu.

Dlatego przeciętny film niemy więcej ma wspólnego ze sztuką, niż przeciętny film współczesny. Cechą sztuki jest selekcja, próba określenia rzeczywistości ograniczonymi środkami — wysiłek określenia rzeczywistości. Doskonałość środków wyrazu nie zawsze jest doskonałością sztuki; często prowadzi do laicyzmu. W filmie niemyim siłą faktu trudno było o łatwość. Reżyser parat się ze swoim niewyjątkowo doskonałym rzemiosłem, dążył do jego ulepszenia, tworzył. Technika filmowa rozwijała się dzięki potrzebie ulepszenia filmowej opowieści.

Istnieje — dość rzadko — prawdziwa legenda — anegdota, w jaki sposób po raz pierwszy przed pół wiekiem nieświadomie zastosowano montaż — podstawę filmowej techniki. Méliès nakręcając jadącego rowerzystę, nie spostrzegł że przez małą usierkę techniczną zatrzymała się na chwilę taśma w jego prymitywnym aparacie. Po wywołaniu filmu otrzymał obraz jadącego, przerwany w pewnym momencie i sfilmowany już w innej fazie ruchu — dotychczasowe obrazy były zawsze ciągłe. Méliès, wprawdzie nie ojciec, ale ojciec chrześniwy filmu — potrafił tę usterekę przekształcić w wynalazek. Ta ciągła pasja udoskonalenia i poszukiwań, dzięki której tak nowatorski dla swoich współczesnych był Griffith czy Eisenstein, jego kontynuator przekształcający zabawę Mélièsa — montaż, w epokowe odkrycie, sprawia, że obserwujemy dziś rozwój filmu bynajmniej bez poczucia wyższości, a czasem ze wstydem. Narodziny tych filmowych wynalazków, bolesne, męczące ale triumfalne i porównanie ich z

obecnym dojrzałym wcieleniem, budzi nie zawsze przyjemne refleksje.

Współczesny reżyser jest zręczny. Każdy wynalazek początkowo jest ciekawy, potem staje się gładki i elegancki. Ta „elegancja” techniki filmowej, która nie ma nic wspólnego z mistrzostwem, a dużo z małpą zręcznością, jest pierwszym grzechem współczesnego filmu.

Pierwociny nielicznych świetnych filmów ostatnich piętnastu lat, można odnieść do starych klasyków i często dochodzi się do wniosku, że jakieś współczesne osiągnięcie bardzo dużo zawdzięcza nie kontynuacji bieżącej chwili, ale ujęciu się do zapomnianej przeszłości. Próby odświeżenia techniki filmowej — uwaroju do odkrywczości w okresie, kiedy wszystko już pozornie odkryto, są dość nieliczne. Główny, a przynajmniej najbardziej aktualny nurt filmu — tak jak film włoski i filmy szkół narodowych — idzie drogą humanizacji, drogą urealnienia i uściplenięcia problemów filmowych, korzystając części z ustabilizowanych a nawet akademickich, utartych środków filmowych. Problem treści przeważał tu siłą faktu nad problemem technicznym. Takiej drodze grozi zawsze obawa literackości, przewaga anegdoty nad czysto filmowymi środkami — a nawet uwarunkowanie tych środków przez anegdotę; brak równowagi.

Dowodem na to, że bardzo filmowy język może służyć doskonale społecznym i humanistycznym celom jest klasyka radziecka. Nie trzeba o tym przypominać, ale trzeba wyciągnąć z tego jakieś konkretne wnioski. W obecnym stadium, kiedy filmom grozi literatura, przeanalizowanie obrazów kinowych jest bardzo w czasie.

Jednym z niewielu współczesnych przykładów odkrywczości formalnej, z ambicjami dowiezania się do osiągnięć klasyki, jest „Obywatel Kane” (1941) Wellesa. Ten wyświechtany u nas film — cieszył się popularnością. Nie jest to o tyle dziwne, że Welles jest jednym z nielicznych przedstawicieli współczesnej awangardy i filmy jego mogą początkowo szokować swoją odrębnością. „Kane” i drugi film Wellesa „The Magnificent Ambersons” stanowią jednak przewrót w kinematografii i są prawdziwą kopalnią i antologią współczesnych środków filmowych.

Bogata faktura „Kane’a” ciągle przenika się z czasem (scenariusz dużo zawdzięcza nowoczesnej literaturze) bardzo odkrywcze traktowanie dialogu (przerwywanie zdań, niedopowiedzenia, równoczesność rozmów) rewelacyjny dźwięk, od razu komponowania klafki filmowej, no i wreszcie oryginalna, świeża reżyseria i gra — stwarzają z „Kane’a” pozycję bardzo wybitną. Jest w tym filmie coś, co nazwiemy się „szerokim oddechem”, jakaś konsekwencja i drapieżność artystyczna, która służy ostrej satyrze społecznej. Welles nie boi dotykać się do osiągnięć francuskiej awan-

gardy czy niemieckiego ekspresjonizmu. Stwarza swój własny styl filmowy — jakiś współczesny ekspresjonizm, pozbawiony germańskiej grozy Pabsta czy Langa, łagodzony francuską ironią, a nie wolny od anglosaskiego melodramatu. Welles jest przykładem, że można kręcić filmy bardzo odkrywcze, a zarazem społecznie drapieżne.

Klasyki filmowi mogą wiele nauczyć i są często prekursorami współczesnych kierunków. Można się dopatrzyć jakiegoś precyzji włoskiego neorealizmu w niektórych sekwencjach Stroheima („Greed” 1923), czy nawet Jean Vigo („L’Atalante” 1934), najdosłowniejszego, przedwcześnie zmarłego francuskiego reżysera. Griffith i Eisenstein prowadzili doświadczenia nad ekranem o zmiennym formacie, a Gance i Chretien odkryli szeroki ekran ćwierć wieku temu. Nie trzeba dodawać, że operowanie klafką filmową było u klasyków tak rewelacyjne, że ci dziadkowie mogą nauczyć patrzemia niejednego młodego operatora. Operator Griffith’a — Billi, kręcący korbką w takt walca (żeby utrzymać jednostajną szybkość) mógłby nieźle być wzorem dla współczesności.

Klasyki poprzez ograniczone środki filmowe potrafili — bo chcą nie chcą musieli — pokazywać rzeczywistość w skrócie, symbolu. I mimo tej niedoskonałości technicznej, wydają się, że dają swoją pracą stale aktualną definicję filmu: obraz rzeczywistości pokazany w plastycznym symbolu,

w filmowej konwencji. Konwencja, która zbliża się do dostownej kopii rzeczywistości — jest siłą faktu groźbą dla filmu. Film potrzebuje konwencji nowej, prawdziwie współczesnej — daleki od naturalistycznego, bezmyślnego z punktu widzenia techniki, podglądania świata.

Każda inwencja techniczna w filmie wywoływała początkowo ze strony twórców sprzeciw. Lansowany od 1926 r. przez Hollywood dźwięk, dla większości europejskich reżyserów był gr „błądzeniem” sztuki. Ta groźba okazała się bardzo płonna — wprawdzie umowna mimika filmów niemych ma bardzo swoisty urok — dźwięk w ręku inteligentnego reżysera od Pudowkina do Wellesa i Viscontiego — został wtopiony w obraz bynajmniej nie bezmyślnie i niewolniczo jako ilustracja akcji. Z kolorem było o wiele gorzej, dopiero ostatnio pojawiają się filmy, których kolor jest prawdziwie artystyczny i twórczo praubudowuje akcję. Tu zastrzeżenia były o wiele bardziej uzasadnione, bez wątpliwości jednak w przyszłości film kolorowy osiągnie należyty — a przynajmniej strawny — poziom.

Podobnie jak kiedyś dźwięk, Hollywood przed kilku laty zaczęło lansować szeroki ekran. Powstał początkowo chaos bo było kilka gatunków tego nowego filmu, każdy wymagał odmiennego wyposażenia kina: Cinerama, Vistavision, Cinemascope, ekran panoramiczny, ekran trójwymiarowy. Geneza tej

ekspansji Ameryki miała charakter czysto ekonomiczny. Przy możliwości oglądania filmów w aparacie telewizyjnym (20 mil. telewizorów w 1952 r.) kina zaczęły pustoszeć, szeroki ekran miał ściągnąć publiczność.

Znow zapanowała konsternacja wśród reżyserów i znow tak, jak w każdym orzeuracie technicznym nowa forma zaczyna powoli opamotować cały świat. W związku z tą nową formą techniczną wzięła się nadzieje na odświeżenie sztuki filmowej. Etap obecnych poszukiwań szeroko-ekranowych nie wychodził w zasadzie poza zakres najprostszych (ale nie najtańszych) i najbardziej prymitywnych eksperymentów. Tak, jak członkowie zjazdu fotografów sfilmowani przez Lumière’a, oglądali z podziwem swoje postacie ruszające się śmiesznie na ekranie, tak, jak dreszcz emocji przebiegał po włoskich, kiedy po raz pierwszy pokazano pędzącą na nich lokomotywę, tak dziś eksploruje się przeróżne sztuczki, które mają olśnić, zadziwić, czy przestraszyć widza, z tym, że dźwięk stereofoniczny wyrzuca na salach podobno prawdziwe okrzyki grozy.

Etap drugi, etap poszukiwań wyjątkowo artystycznego typowego dla szerokiego ekranu dopiero się zbliża, narazie jest na wpol zabawa. Nie długo znow nastanie okres wynalazczy, okres myślenia, okres mozolnego kombinowania. Z tego myślenia może powstać nowy gatunek sztuki.



René Clair: „Pod dachami Paryża“ (1930 r.)

Rewolucja na ulicy szarej

WŁADYSŁAW LECH TERLECKI

ZAZDROSZCZĘ Jerzemu Grygouinasowi jego kolorowych kłódzkich wspomnień. Nie takie wspomnienia pozostały mi z wędrówki po mieście koronkowej architektury i małych mostków, którym patronują zamyśleni kamienni świątli.

Przed kilkoma tygodniami oglądałem tezkę rysunków młodego architekta, który odwiedził Kłodzko w swoich „plenerowych podrózkach”: wąskie, zaciemnione uliczki o sentymentalnych nazwach, grupy cyganów, którzy zatrzymują się na zimę w potowie swojej wielkiej wędrowni, krzykliwy rynek. Wszystko to przypomniało na papierze widziane dawniej fragmenty miasta. Nie powiedziałbym młodemu architektowi, że przywieziono z pleneru szkice nie podobają mi się. Może to zresztą nie była jego wina. Powiatowe miasteczka lubią kryć swoje wielkie i małe tajemnice. W małych miasteczkach rzeczy gdzie indziej nie zauważane — urastają częstokroć do rozmiarów problemu i na odwrót — sprawy najbardziej ważne nikną, nie dostrzegają się ich. Są jakoś naturalne i zupełnie wytłumaczone. Trudno się w nich od razu rozeznąć.

Przed kilkoma miesiącami do piętrowej willi na ulicy Piastowskiej zgłosiło się kilku mężczyzn. W gabinecie dyrektora odbyła się długa, kilkugodzinna konferencja.

Sprawa dotyczyła świetlicy. Ściśle mówiąc chodziło właściwie o to, że ją w ogóle otwarto. Przed kilkoma miesiącami dzięki dużym staraniom całej załogi wyremontowano salę, w której mogłyby się odbywać zebrania, w której można by było poczytać i wycisnąć. Oczywiście nie to zraziło prokuraturę kłódzką i członków komisji, badających sprawę. Szło o pieniądze. Po prostu do

wyremontowania świetlicy, pomimo własnej pracy, którą wykonali bezpłatnie pracownicy małego zakładu — potrzebna była pewna kwota pieniędzy na sprzęt, ozdobienie ścian, zakupienie większej ilości książek. Pieniądze znalazły się. Rzecz w tym, że wykorzystano je z innej puli. Nie zaplanowano bowiem tej poważnej inwestycji.

Panowie z komisji mówili: — Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że postąpiłście wbrew przepisom prawnym? — Przepisy prawne zezwalają na zakładanie świetlicy — tłumaczył dyrektor.

— Przepisy nie pozwalały na samowolne zesłanie państwowymi pieniędzmi!...

— Zrozumcie — wszystkie zebrania, jakie zorganizowaliśmy dotychczas odbywały się w ciasnej i brudnej hali maszynowej. 70 procent pracowników naszego warsztatu — to młodzież. Czy wolelibyście gdyby młodzież ta spotykała się w innym miejscu po pracy? Ostatecznie w Kłodzku jest wiele knajp. Nie było miesiąca, żeby na adres dyrekcji, czy rady zakładowej nie nadchodziły pisma z milicji, że któryś z młodych pracowników popełnił taki czy inny wycieczek chuligański. Czy to także nie jest ważne, czy nie jest ważniejsze od kilkunastu tysięcy, które wydaliśmy we wspólnym interesie?

— Bez demagogii, obywatelu! — przerwał pan z komisji. — Świetlica to jest sprawa, młodzież to też sprawa, a nas interesują pieniądze. Państwowe pieniądze. Mamy przyzysłać w tej ostatniej sprawie. I nie myślcie nam o czu chuliganami, burdami i knajpami. My tu nie po to... Komisja wysłuchiwała wyjaśnień, tłumaczyła, przesuwała, badała i szukała dziury w całym. W tym

samym czasie w nowootwartej świetlicy odbywała się zabawa.

Jaki był rozwój dalszych wypadków?... Rzecz jasna, świetlice nie rozebrano. Przysłano natomiast służbową nagane kierownikowi warsztatu. Jeszcze przedtem udekorowano go Srebrnym Krzyżem Zasługi...

— To mi powiedział o małej powiatowej aferze stary robotnik warsztatu.

— Tu się dzieją dziwne rzeczy. Plan w 1955 roku wykonaliśmy w 119 procentach. Niby niewielki sukces. Dla nas to był sukces duży. Możecie się o tym przekonać sami. Ludzie opowiadają, że w małych warsztatach — bywa zwykle cięższa robota. Że na prawdę napracować można się dopiero w Nowej Hucie, w Kędzierzynie — wszędzie tam, gdzie się robi wielkie rzeczy. My rzeczywistość robimy małe. Ale jesteśmy potrzebni. Sprawa świetlicy zaskoczyła nas w chwili, kiedyśmy się najmniej spodziewali takiej awantury... Wszędzie się znajduje szmeleni ludzi. W każdej gromadzie. Aferę ze zbudowania świetlicy zrobił taki jeden od nas, któremu wszystko się nie podoba, bo jego narzeczona dostała wymówienie. To, że się tą sprawą interesowano, jest zrozumiałe. Jak ktoś pierwszy raz plecie co mu ślina na nie jest ważniejsze od kilkunastu tysięcy, czy nie mówi prawdy. Ale najgłupsza jest ta nagana, którą dostał dyrektor...

Tenże sam dyrektor odznaczony naganą i Srebrnym Krzyżem Zasługi powiedział mi „na marginesie”: To jest nie pierwsza taka sprawa. Właściwie pierwsza, ale im więcej pluskiew zachodzi cziolkowki za kołnierzy — to tym więcej mu się chce robić.

Kiedy się patrzy z okien domów, wybudowanych na małej, pnącej

się pod górę uliczce — znika urok poetycznych ranków i wieczorów, o których pięją zachwyceni turyści przyglądający się kłodzkim zabytkom. Ulica jest wąska. Domy małe. Szare. W jednym z tych domów mieszka pani Stanisława. Pani Stanisława ma bardzo ciekawą historię. W Kłodzku mieszka dawno. Jeszcze podczas okupacji przeżywała tutaj swoją młodość. Po wyzwoleniu jednym z ostatnich transportów pani Stanisława wyjechała do Niemiec. W kilka miesięcy potem przeszła zieloną granicę i tym razem pozostała w miasteczku na stałe. Podobno miłość do poznanego tutaj mężczyzny sprowadziła ją na ulicę dzieciństwa. Może zresztą inna tęsknota. Pani Stanisława ma teraz dom, rodzinę, męża, który dobrze zarabia i nie pije.

Często przesiaduje w oknie i przygląda się warszatom. — Czy tutaj się dużo zmieniło? Oczywiście. Bardzo dużo. Pracuje więcej ludzi, zakład się powiększył. Jego losami interesuje się były właściciel z Niemiec Zachodnich. Przysłała do pani Stanisławowej listy i prosi, żeby mu napisać „co tam u niego słychać”. Więc pani Stanisława pisze listy. Niby dlaczego ma nie pisać? A dawny właściciel, jak bądzie potrzeba, przyśle jakieś dobre lekarstwo, albo i co innego. Toteż pani Stanisława opiera się o parapet okna i patrzy na szarą ulicę.

W innym oknie spotkać można było dawniej ponurego proroka, który przepowiadał bliski koniec świata. W wolnych chwilach wrzucił do komina dużej warsztatowej hali stare szmaly, cegły... — (Może się zapali)?... albo znowu planował podpalenie stróżówki. Podpalił, powędrował za kratki. Prorocтва ponurego człowieka nie sprawdziły się.

Szara jest mała ulica. Trzeba jej się dobrze przyglądać. Teraz na przykład z piętrowej willi, w której mieści się biuro, wychodzi tegi, przysadzisty człowiek w skórzanej pilocie na głowie. Omiąka kaluzę i idzie w stronę placu — cmentarza, na którym stoją zardzewiałe maszyny.

Kiedy wiadomość o przyjeździe nowego dyrektora dotarła do warsztatu mówiono: — No i przysłał jeszcze jednego... Będzie siedział w swoim gabinecie i będzie przygotowywał pogadanki. Tacy oni wszyscy, psia ich dyrektorska mać — jeden lepszy od drugiego...

Dyrektor nie przesiadywał w gabinecie. Częściej go można było spotkać w halach warsztatowych. Wszędzie się wtrącał. Inna rzecz, że znał się na sprzęcie, wiedział co trzeba kiedy zrobić, sam się uczył... Po kilku miesiącach zaczęto mówić inaczej: — Wazeliniaz. Nic innego tylko wazeliniaz. Taki to by wszystko zrobił, wszędzie by wlaź, żeby się tylko przypodobać. Widąc chce, żeby go przenieśli z awansem...

Trudno było w każdym razie uwierzyć w te plotki o awansie. Przecież był młody. To była dopiero druga jego posada. Po skończeniu studiów we Wrocławskiej Wyższej Szkole Rolniczej — pracował tylko w PGR zespół Kątna (powiat Oleśnica), jako mechanik. Na studiach specjalizował się w zakresie mechanizacji rolnictwa. — No, to rzeczywistość trochę będzie musiał tutaj posiedzieć. Jeżeli sam nie ucieknie. Co wy myślicie, że on by tak długo mógł za 720 złotych miesięcznie — wytrzymać na tej dyrektorskiej posadce. Głupi by był... Skończy mu się przydział i ucieknie do POM-u. Tam przynajmniej lepiej zarobi, a robotę będzie miał tę samą...

Nikt zresztą z blisko stuosobowej załogi nie zagrzewał dużej mieszki w PGR-owskim zakładzie w Kłodzku. Niskie pensje, stare, nadające się na szmelc maszyny, robota niewdzięczna... Czemu się dziwić? Każdy wolał urządzić się lepiej. Isć tam, gdzie lepiej można zarobić, przedzej wypłynąć. Zrozumiałe ludzkie ambicje.

Taka była początkowa praca warsztatu remontującego maszyny rolnicze. Wypisywane na murach hasło: „Frontem do rolnictwa” okazywało się w praktyce zwykłym sloganem.

Niewiele myślano w powiatowym mieście o przyjaźni robotniczo-chłopskiej. To były za patetyczne słowa.

„Tłusty człowiek w skórzanej pilocie mówi: — Kiedy przyjechałem na nową, pierwszą dyrektorską posadę zaczął mi się palić grunt pod nogami. Bezład. I awniej robiono tutaj brudne interesy, popijano podczas pracy, patrono przez palce na często powtarzające się kradzieże. Trzeba było z tym walczyć.

— Jak? Zdarzył się kiedyś taki wypadek. Przyłapano wieczorem młodego robotnika. Ukradł oponę. Oczywiście można go było wyrzucić, sprawę przekazać do prokuratora. Ale dlaczego kradnie? Okazało się, że miał chorą żonę i dwoje dzieci. Zarabiał niewiele. Zresztą u nas w ogóle zarabia się niewiele. Powiedzieliśmy mu, żeby zwrócił oponę. Zwrócił. Daliśmy mu wtedy 300 złotych bezzwrotną zapomogę. postaraliśmy się o dodatkową robotę.

W każdym zakładzie opowiada się takie historie o człowieku, którego wyratowano, któremu podano w odpowiedniej chwili rękę. To są takie pokrótce przykłady. Ale co robi reszta?

Przed wszystkim nikt nie ucieka z małego warsztatu, w którym są niskie pensje, stare, wyprodukowane przed pierwszą wojną ma-